



AKTOR WIECZNIE MŁODY

TO LUDWIK SOLSKI, KTÓRY, MIMO UKOŃCZENIA 97 LAT, LICZBĘ 1500 DOTYCHCZASOWYCH RÓL POWIEKSZY NA PEWNO O NOWE KREACJE SCENICZNE. (PATRZ REPORTAŻ NA STR. 12 I 13).

Fot. Jan Kosidowski

NA BUDOWIE MDM



Fot. Prażuch

Dwójka murarska Krzemińskich (ojciec i syn), dla uczczenia urodzin Prezydenta i Święta 1 Maja, wykonała z nadwyżką swoje zobowiązania produkcyjne.

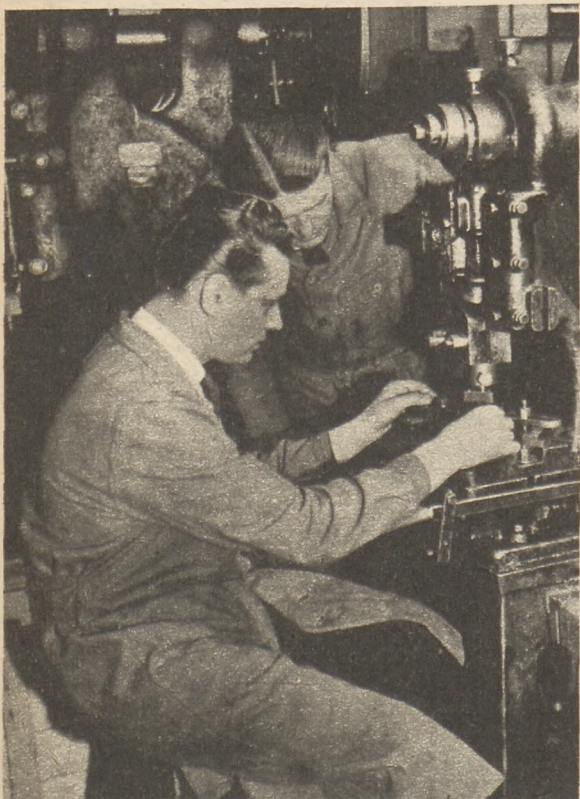
STATEK „BYTOM” PRZODUJE



CAF

Bosman Celestyn Zieliński i starsi marynarze: Leszek Zieliński, Jerzy Murawski, Jan Dzwonkowski oraz młodszy marynarz St. Jassa, starannie konserwują mechanizmy windy przeładunkowej. Statek „Bytom” zajął we współzawodnictwie P.M.H. trzecie miejsce, dając przykład innym statkom morskim.

93.000 ZŁOTYCH OSZCZĘDNOŚCI ROCZNIE



Fot. Kondracki

Ob. ob. Leśnik i Świerkot z Katowic produkują metalowe części opravek do okularów na maszynie własnej konstrukcji, co pozwala zaoszczędzić dewizy.

OBRADY AKTYWU PGR



Fot. Sławny

W sali Rady Państwa obradował Zjazd aktywu Państwowych Gospodarstw Rolnych. W obradach wzięli udział: Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut, premier Józef Cyrankiewicz i liczni członkowie rządu. Na zakończenie Zjazdu siedmiu przodowników otrzymało z rąk Prezydenta Złote Krzyże Zasługi.

BELOJANNIS ZAMORDOWANY



Keystone

O świcie dnia 30 marca monarcho-faszyści greccy rozstrzelali Nikosa Belojannisa i trzech jego towarzyszy: Kalumenosa, Argiriadisa i Batsisa. Mord sądowy, dokonany na patriotach i bohaterach greckiego ruchu oporu, wywołał oburzenie na całym świecie. Na zdjęciu: Belojannis i towarzysze na sali sądowej podczas procesu.

ŻĄDAMY ZWROTU SKARBÓW POLSKIEJ KULTURY



Rząd polski ponownie zwrócił się do rządu kanadyjskiego o zwrot bezprawnie przetrzymywanych skarbów polskiej kultury — arrasów, insygniów królewskich i rękopisów. Skarby te były wywiezione z Polski w 1939 r.

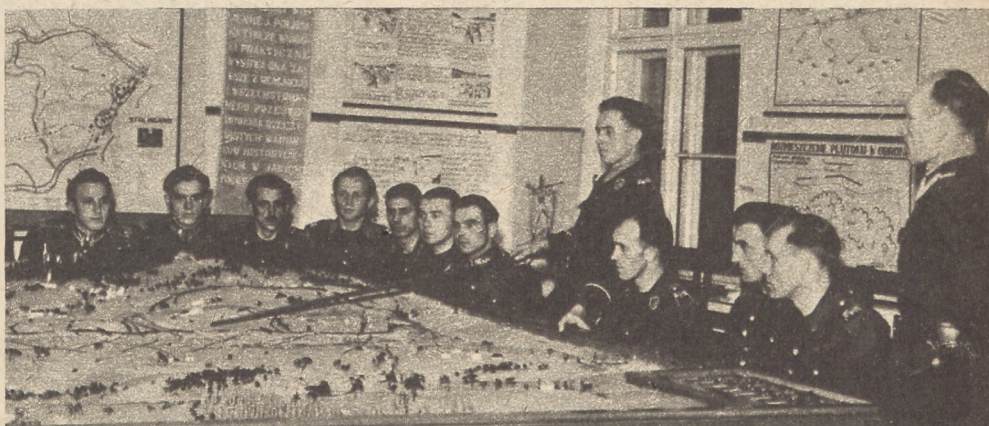
TRAKTORY GOTOWE DO PRACY



CAF

Jednym z pierwszych Państwowych Ośrodków Maszynowych całkowicie przygotowanym do wiosennej akcji siewnej jest POM Nr. 13 w Sanoku. Dzięki dobrej organizacji pracy, zawczasu przejrzano sprzęt i przeprowadzono gruntowne remonty maszyn.

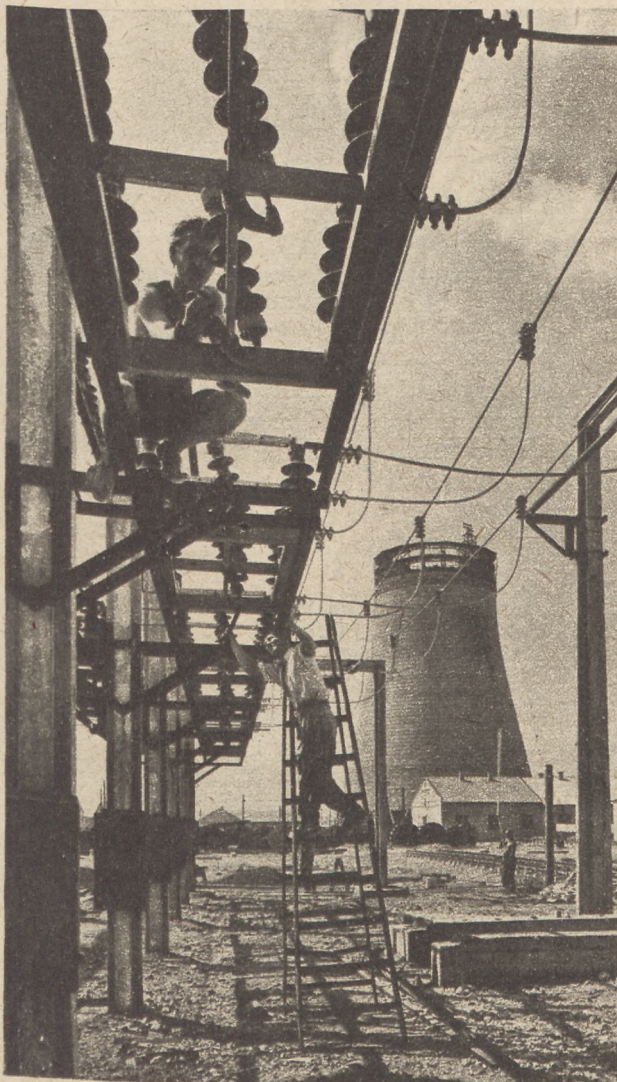
SZKOLENIE KADR OFICERSKICH



WAF

W Oficerskiej Szkole Piechoty kształcą się kadry oficerskie naszego wojska. Por. Zygmunt Kielar prowadzi zajęcia teoretyczne z zakresu taktyki. Przdownik wyszkolenia, Henryk Wilk, poznaje metody orientacji w terenie przy pomocy mapy plastycznej.

NOWA ELEKTROWNIA NA WĘGRZECH



Magyar Foto

Na Węgrzech oddano ostatnio do użytku wielką elektrownię „Inota”, która jest jedną z największych inwestycji Pięcioletniego Planu rozwoju gospodarczego.

ŚWIETLICE SZKOLNE



St. Wdowiński

Rozrasta się sieć świetlic szkolnych w całym kraju. Oto świetlica Szkoły Przysposobienia Przemysłowego w Łodzi, odwiedzana licznie przez uczennice.

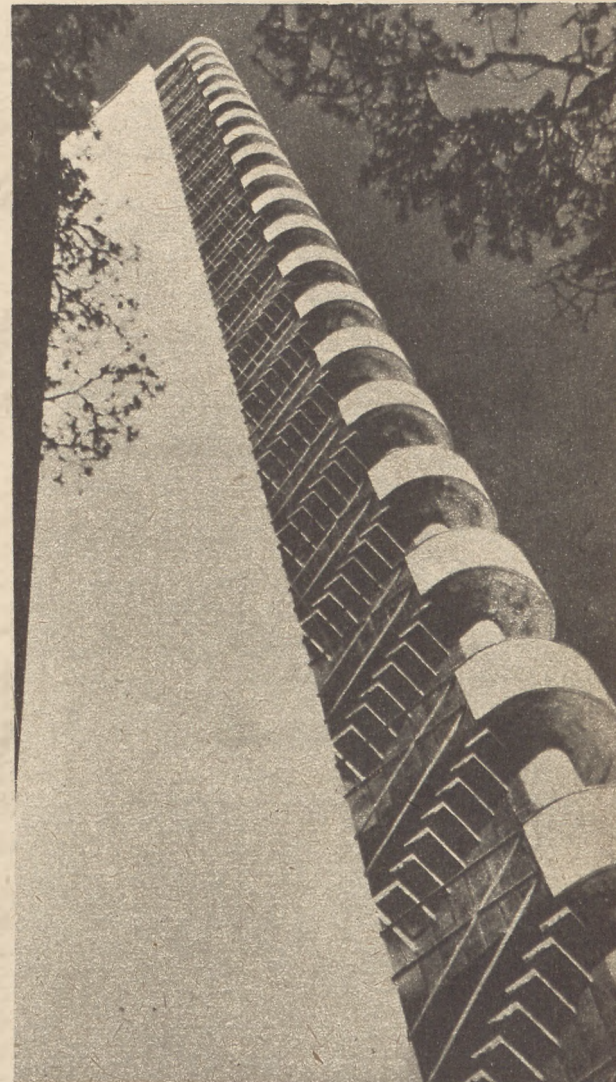
ZAMIESZKI W TRIEŚCIE



Keystone

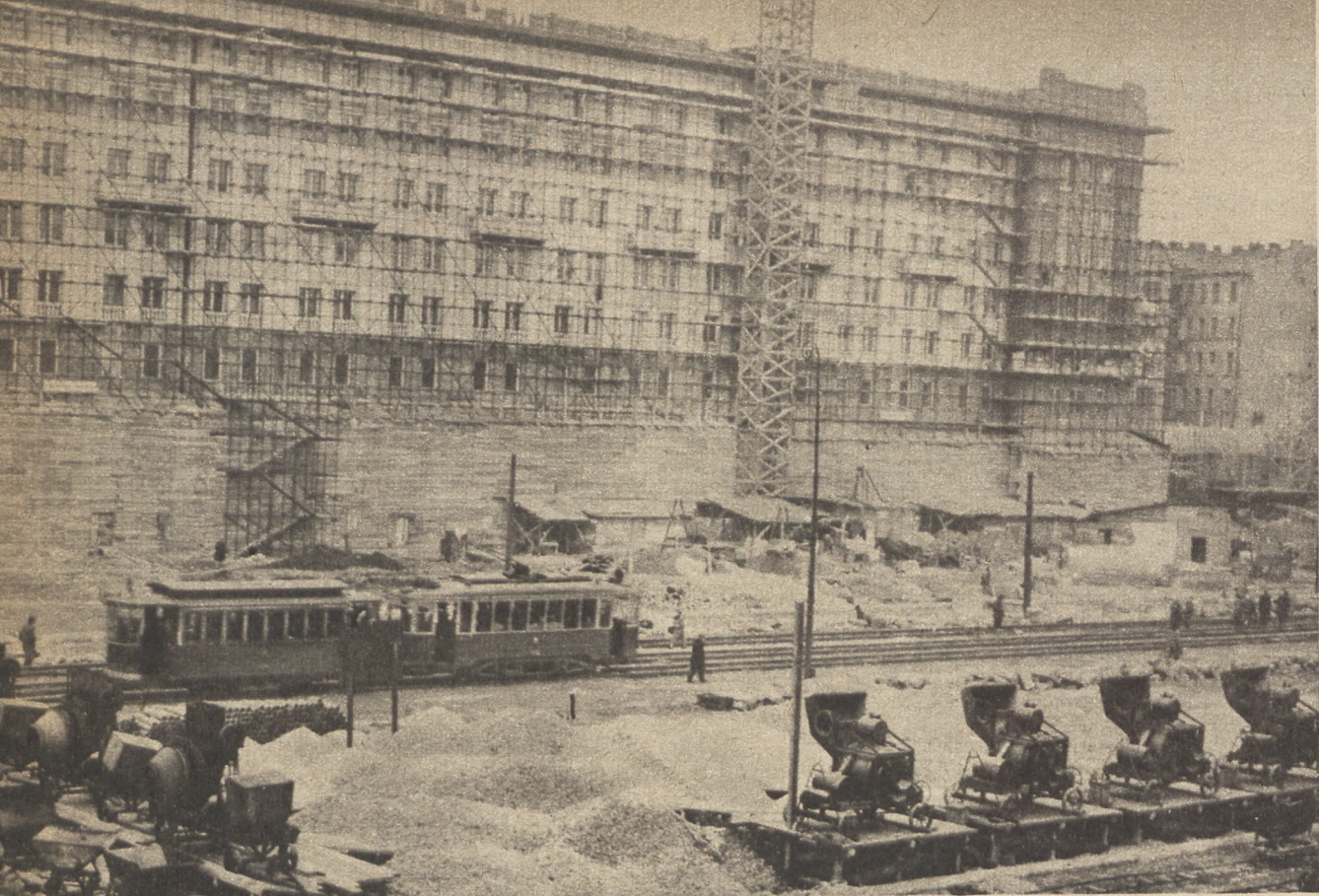
W Trieście zmobilizowano setki policjantów do rozprawienia demonstracji ludności domagającej się włączenia obszaru Wolnego Miasta do Włoch.

WIEŻA OBSERWACYJNA NA STADIONIE OLIMPIJSKIM



Keystone

W Helsinkach, gdzie odbędzie się w tym roku letnia Olimpiada, wybudowano wielką wieżę, z której sędziowie będą mogli dobrze obserwować zawody.



Przed niespełną ośmioma miesiącami wprowadzili się do nowych mieszkań pierwsi lokatorzy MDM. Dziś w 8 blokach mieszka już kilkaset robotniczych rodzin. Co tydzień przy-

bywają nowe izby, zwiększa się liczba lokatorów. 22 lipca bież. roku będzie ich już 5 tys. Do roku 1955 liczba mieszkańców Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej wzrośnie do 40 tys.

DWA PREZENTY

GAŁA historia zaczęła się, jak na MDM — niezwykle. Bo do tej pory na budowach Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej nie było takiego zwyczaju, żeby jedna brygada wzywała drugą do podwyższania zobowiązań. A tak właśnie stało się na blokach „18” i „19”, które w MDM-owskim tempie wyrastają przy bocznej, ale ważnej dla całej dzielnicy, ulicy Nowowiejskiej. Tam to, na słynnej dziś na MDM „osiemnastce”, młodzieżowy zespół Stanisława Szumskiego wezwał do współzawodnictwa starego murarskiego wygę — rekordziste, Edwarda Ślupeckiego.

Na sali, gdzie odbywała się narada, po tym wezwaniu zaległa cisza. Za chwilę zerwał się szmer zdziwienia, niedowierzania. Bo jakże to — młody murarz, 19-letni chłopak, wzywa do współzawodnictwa Ślupeckiego, który ma za sobą tyle lat pracy murarskiej, ile tamten lat życia? Jakże to — chłopak, który zdobywał szlify kierownika zespołu właśnie na bloku, gdzie Ślupecki ustalał coraz to nowe MDM-owskie rekordy — już chce rywalizować z mistrzem?

A rywalizacja w tym zobowiązaniu to rzecz ważna. Bo nie tylko szło brygadziście o sławę na MDM czy o tytuł przodującego murarza. Chodziło przecież o to, kto ofiaruje Prezydentowi Bierutowi lepszy, wspanialszy prezent urodzinowy.

KTO ZWYCIĘŻYŁ

Współzawodnictwo rozwinęło się pełnym frontem, zapaliło wielkim płomieniem już od pierwszego dnia. Dwaj młodzi chłopcy — Szumski i jego podręczny, Józek Grędzik, od początku wiedzieli, że nie łatwo im będzie uporać się z zadaniem. Bo i Ślupecki i jego pomocnik — Tadeusz Pawlak, nie chcieli łatwo zrezygnować z murarskiego przodownictwa.

Robota poszła na jednakowych odcinkach. I jedna brygada i druga objęły w niepodzielne władanie dwie klatki schodowe. Codziennie wieczorem, chylkiem, żeby przeciwnicy nie zobaczyli, obaj brygadziści podchodzili na plac walki — na odcinek „rywala”. Kręcił z niedowierzaniem głową Edward Ślupecki: „Spiesz się młodziaki, rwaj naprzód — na „sto dwa”. A Szumski znowu medytował, jak lepiej ustawić zespół, jak przygotować materiały, by nadrobić urwane przez „rywala” metry...

Tak szła robota przez tydzień.

Gdy przyszło do obliczenia wyników — okazało się, że... zwycięzcy nie ma. Bo „osiemnastka” i „dziewiętnastka” wyrobiły jednakowo — po 307 procent normy. Obydwa zespoły wykazały jednakową, staranną jakość roboty. Może nawet, jak to się mówi „ciut-ciuć” lepszą miała ZMP-owska brygada Szumskiego.

W każdym razie, „na czysto”, w tym szlachetnym współzawodnictwie wygrała Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa.

PREZYDENT — BUDOWNICZY

— Przecież my, MDM-owcy, musimy specjalnie uczcić urodziny Prezydenta — mówił Tomczak, jeden z cieśli z trudnego odcinka Głównego Placu. — Wiem to, bo w naszej grupie dyskutowaliśmy o tym, że to właśnie z Jego inicjatywy, z Jego pro-

jektów wyrastają wspaniałe domy nowego śródmieścia.

„...Pod robotnicze osiedla mieszkaniowe zostaną oddane tereny, które dawniej były dostępne jedynie dla zamożnej ludności Warszawy, mieszkania robotnicze wejdą do śródmieścia wzdłuż Trasy W—Z i ul. Marszałkowskiej... W okresie 6-letnim zostaną wybudowane i oddane do użytku osiedla mieszkaniowe przy ul. Marszałkowskiej...” — oto fragmenty historycznego dla stolicy przemówienia Prezydenta na I Warszawskiej Konferencji PZPR, która odbyła się 3 lipca 1949 roku.

Od tej pory wiele zmieniło się na terenie śródmieścia dawnej kapitalistycznej Warszawy. Znikły gruzy i ruiny. Cofnęły się w przeszłość wspomnienia domu Pomianowskiego ze zbiegu Marszałkowskiej i Pięknej... Na placu, na centralnym odcinku nowej dzielnicy wyrosły szeregi potężnych, nowoczesnych bloków.

Dziś obok domów, które już zajmują robotnicy z MDM, z „Odzieżówki”, od „Świerczewskiego”, wyrastają nowe. Jest ich teraz w budowie przeszło dwadzieścia.

PO GOSPODARSKU

Wartość zobowiązań, podjętych przez budowniczych tych 20 bloków, wyraża się sumą ponad 65 tys. roboczo-godzin, które zaoszczędzą MDM-owcy do 1 Maja. Dotychczas zobowiązania te wykonano w ponad 40 procentach. Z blisko 2 tysięcy robotników, którzy podjęli czyn, wielu już, jak Szumski i Ślupecki, wypełniło swoje zadania.

Wypełnili już swoje zobowiązania ojciec i syn, murarz i podręczny — Stanisław i Zbigniew Krzemieńscy z bloku 1c. Podnieśli do 210 procent wydajność swego „rodzinnego zespołu”. Dotrzymali terminu wykonania odcinka robót, zaoszczędzili cenne kilogramy zaprawy i dziesiątki cegieł. Teraz pracują już nad plan.

Dotrzymują słowa murarze z bloku nr. 15, z grupy młodzieżowego rekordzisty Polski, Mariana Drabika Dwójka murarska — Drabik z podręcznym, Jerzym Zmorzyńskim — wpisuje co dzień na swe konto: 390, 400, 410, 426 procent normy. Stale, wciąż coraz więcej. A zobowiązanie, które podjęli, obejmowało podniesienie wydajności do 380 procent. Poza tym Drabik szkoli dwóch niewykwalifikowanych robotników na podręcznych, a dwóch pomocników nauczyciela murarki.

Ta nowa forma zobowiązań szkoleniowych przyjęła się szeroko na MDM. Ogółem blisko 130 robotników — murarzy, cieśli i zbrojarzy — postanowiło do 1 Maja zaznajomić z tajemnicami swego zawodu kolegów, którzy dopiero stają do budowy nowego, socjalistycznego miasta. Jedną z zatrudnionych na MDM kobiet — zbrojarek, Stefania Zemło z bloku 6f, postanowiła np. tak opanować swoje rzemiosło, by stale osiągać co najmniej 180 procent. Już teraz jej wydajność wynosi blisko 150 procent...

— Warto jest popracować więcej i lepiej — mówi zbrojarz, Jan Korpus, z Głównego Placu, z bloku 6f. — Nasza robota, nasze zobowiązania, to najlepsze dary dla Prezydenta.

ANDRZEJ CHRZANOWSKI
Zdjęcia: W. Prażuch



Nowy rekord Polski w murarstwie ustalili ze swoją brygadą młody ZMP-owiec, Marian Drabik, z bloku 15 Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. W ciągu 8 godzin pracy jego zespół ułożył 1924 sztuk cegły, wyrabiając w ten sposób 890 procent normy. Obecnie dwójka Drabika, dla uczczenia 60 rocznicy urodzin Prezydenta, stale wyrabia wiele ponad 400 proc.



Smacznego... Po pracy, w czasie przerwy obiadowej posiłek bardzo się przydaje. Razem przy jednym stole zjadają swój obiad dwaj „rywale”: Stanisław Szumski i Edward Ślupecki. Współzawodnictwo na rusztowaniach nie przeszkadza im być dobrymi kolegami i wzajemnie sobie pomagać w pracy.



Nie tylko mężczyźni budują nowe domy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Od dawna już prysły przesady o „niekobiecych” zawodach. Stefania Zemło, zbrojarka z bloku 6f, doskonale sobie daje radę w pracy. Szybko, sprawnie i dobrze przygotowuje strzemiona do zbrojeń.



Wśród podejmujących czyn urodzinowy — budowniczych MDM — nie zabrakło i brygadzysty zbrojarskiego, Jana Korpusa. Jego zespół zobowiązał się wykonać w terminie wszystkie powierzone roboty, tak, by nie dopuścić do przestojów.

GODZINA BEZ SZEŚCIU MINUT

LUCJAN WOLANOWSKI

Zdjęcia: Z. MAŁEK

W PÓLMROKU zimowego poranka ludzie myli się z pośpiechem, spieszenie się ubierali, parzyli się gorącą kawą przygotowanego na przódce śniadania i uliczkami podmiejskich osad zdążali ku stacyjom kolejowej. Nadchodził pociąg; stara zadyszana lokomotywa ciągnęła stare wagony. Ludzie walczyli o miejsca, by jeżeli już nie wewnątrz to przynajmniej na oblodzonych stopniach wagonu dostać się do Warszawy, gdzie czekała na nich fabryka, biuro lub szkoła. Wreszcie pociąg ruszył, rozpędzał się powoli i nim nabrał szybkości, już musiał zwalniać przed następną stacją na podwarszawskim szlaku.

Wskazówki zegara nieubłaganie posuwały się naprzód. Mijały minuty i dziesiątki minut nim wreszcie po postojach na wszystkich stacyjkach, po przebrnięciu przez chaszcze rozjazdów, po odczekaniu na przyjazne, zachęcające mrugnięcie zielonego oka semafora — pociąg wtaczał się na dworzec Warszawa-Wileńska, by tam wyrzucić przemarzniętych, wymiętoszonych pasażerów. Tłum sunął teraz ku wyjściu, gdzie — niby służy zapory wodnej — rozdzielały go na wąskie strumyki przejścia kontrolne.

Biegły minuty. Tłum czekał na przystanku tramwajowym, by dostać się z lewego brzegu Wisły na prawy — do śródmieścia. Powoli jadą przez mosty warszawskie tramwaje „czerwone żółwie“, oblepione pasażerami.

Gdy wreszcie odnajdujemy pasażerów porannego pociągu przy warsztacie, za biurkiem czy na ławie szkolnej, widać już zmęczenie na ich twarzach. A po pracowitym dniu, czekał ich jeszcze powrót...

Podwarszawskie osady: Wołomin, Tłuszcz i Zielonka — to tylko kilka nazw skupisk, zamieszkałych przez murarzy budujących nową Warszawę, urzędników wielu ministerstw i instytucji i młodzież z licznych szkół. Nie lepsza też była sytuacja komunikacyjna dojeżdżających do stolicy mieszkańców osad położonych na trasie Warszawa-Błonie na lewym brzegu Wisły.

Tam też właśnie, na którejś ze stacji rozpoczyna się nasza opowieść o

żelaznym szlaku, gdzie zawisł przewód elektryczny, by przynieść ludziom ulgę.

Najpierw poprawiono nawierzchnię. Potem — stawiano słupy. Przemykały się obok pociągi. Później jednak, gdy trzeba było wieszać drut na słupach — to nie można było tego robić podczas ruchu pociągów, a nie można też było zamknąć linii, należących do najbardziej uczęszczanych w Polsce — gdyż przecież przede wszystkim takie się elektryfikuje.

Drut dla kilometrowego odcinka waży 2,5 tony. Trzeba go naciągnąć szybko ale precyzyjnie i bez pomyłek — trzeba ustawić go dokładnie tak, by przez pałąk elektrowozu sączył do silnika energię wędrującą z odległej turbiny. Do budowy sieci służy aż 700 rozmaitych części. Trzeba je szybko i precyzyjnie zmontować, tak, by znalazły się na swym miejscu i spełniały swe zadania. Jak tego dokonać na zatłoczonej linii?

CZYHANIE NA CZAS

Gdzieś na bocznym torze stoi pociąg roboczy. Na dachach — platformy dla monterów, na razie jeszcze beczynne, jak ręce człowieka, nim weźmie się do roboty. W wagonie technicy porządkują teraz swój cały ekwipunek, układają pod ręką poszczególne części, by nie stracić ani sekundy, gdy nadejdzie moment działania. Noc zapada, sąsiednimi torami mkną pociągi — tylko w wagonach roboczych monterzy czyhają na czas, by ukraść kilkanaście minut, kiedy przerwa w ruchu pozwoli na wjazd na trasę.

Zadudniły głucho i zniknęły wśród nocy wagony długiej towarówki. Pociąg roboczy otrząsnął się z pozornego snu. Parowóz manewrowy wtoczył go szybko na szlak, dzwoniący jeszcze oddalającymi się towarowymi wagonami. Mocne reflektory oświetliły trasę — jak chirurg oświetla pole operacyjne, nim weźmie się do zabiegu. Monterom grabiały na mrozie ręce dzierżące narzędzia; szła gorączkowo praca; uwijali się, by zdążyć jeszcze zemknąć z drogi przed nadjeżdżającym pośpiesznym.

Równocześnie trwała praca w fabrykach, wykonujących sprzęt dla elektryfikacji kolei. Polscy specjaliści budowali urządzenia, będące przed



Maszynista lokomotywy elektrycznej pracuje w czystej, ciepłej i wygodnej kabynie. Praca jego jest szczególnie

odpowiedzialna ze względu na ogromną szybkość, jaką rozwijają pociągi na zelektryfikowanych liniach.

wojną domeną brytyjskich specjalistów, strzegących zazdrośnie tajemnic patentów przed Polakami, którzy — ich zdaniem — nadawali się tylko do prymitywnych robót. W kreślarniach powstawała dokumentacja dla całej budowy. Urzędy koordynowały dostawy, by nie zabrakło najdrobniejszej śrubki pod ręką technika na dachu pociągu roboczego czy pod dachem budowanych podstacji.

MÓZGI W KREŚLARNIACH I RĘCE NA TRASIE

Noce czyhania na trasie i dni robocze w fabrykach przyniosły wreszcie plon.

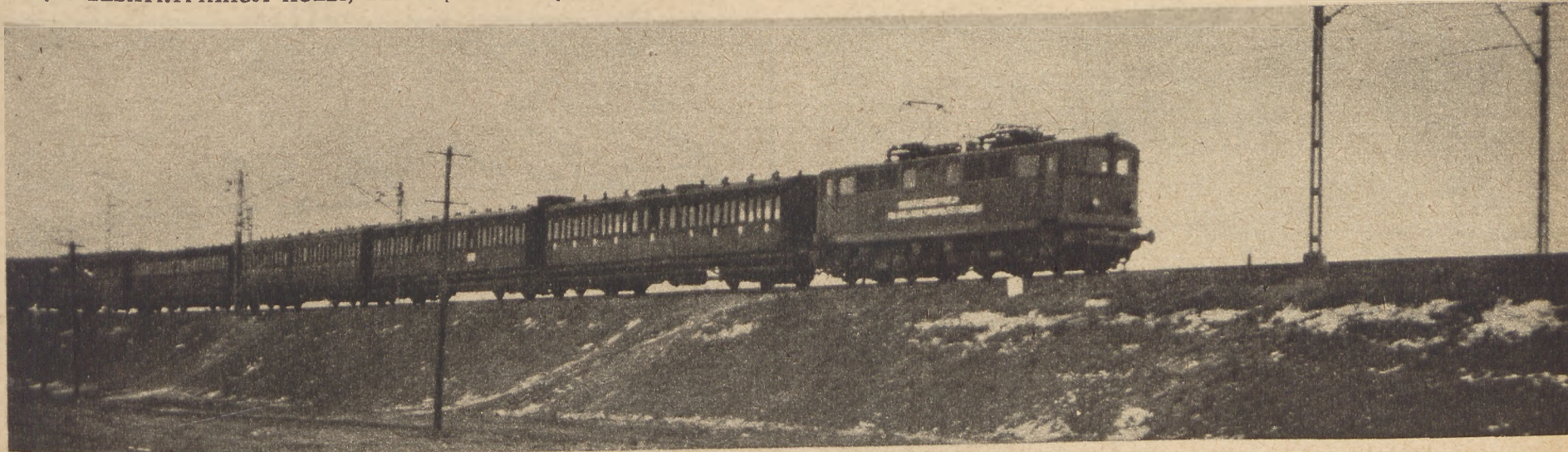
W przedostatnią marcową niedzielę ruszył ze stacji Warszawa-Wileńska pociąg osobowy, ciągnięty przez nowiuteńką lokomotywę elektryczną i

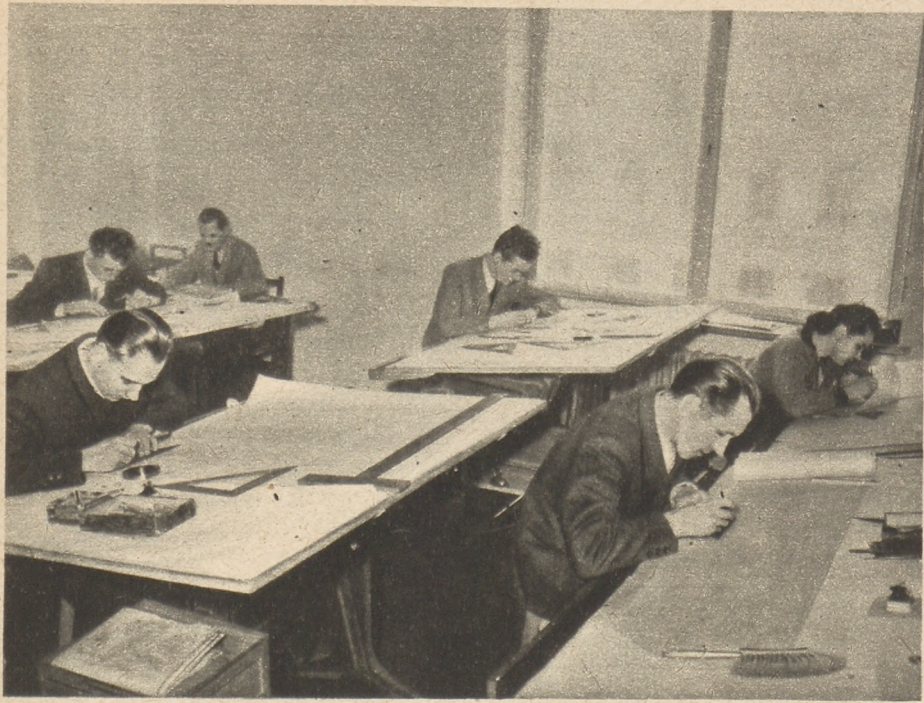
wiozący zaproszonych gości na pierwszą jazdę po nowozielektryfikowanych podwarszawskich szlakach.

Uroczystości oficjalne osnute są zwykle mgiełką nudy i podparte szkieletem sztywności. Ta jednak uroczystość odbiegała znacznie od podobnych obrzędów. Byli, co prawda, nieśmiertelni strażacy w błyszczących hełmach i cienko zawodząca dziatwa szkolna — ale zabrakło innych żelaznych pozycji stałego repertuaru naszych uroczystości. Przemówienia były krótkie i treściwe, a całość odbywała się dosłownie z zegarkiem w ręku — jak to zwyczajnie na kolei. Głównym jednak tłem i osnową całej uroczystości była szczerza radość ludzi.

Mimo mroźnego poranka na wszystkich stacjach stali ludzie żądni wido-

DZIĘKI ELEKTRYFIKACJI KOLEI, DZIESIĄTKI TYSIĘCY LUDZI Z OKOLIC WARSZAWY OSZCZĘDZĄ CODZIENNIE WIELE CZASU NA DOJAZDACH.





Technika polska sprostała trudnym zadaniom, jakie przedstawia elektry-

fikacja kolei. Dokumentacja techniczna odegrała w pracach ważną rolę.

ku zapowiedzi lepszej, codziennej drogi do miasta, zapowiedzi, która już nazajutrz miała się stać realna. Głowa przy głowie stali na peronach mieszkańcy podwarszawskich osad, by na własne oczy ujrzeć prezent jaki sprawiliśmy sobie za 114 milionów złotych.

Na krańcową stację Tłuszcz wyległa chyba cała ludność tego miasteczka, którego każdy pracujący w Warszawie mieszkaniec dostał w darze 54 minuty czasu zaoszczędzonego dziennie na przejazdach z domu do śródmieścia stolicy. Zastanówmy się tylko, jaką wartość ma codziennie godzina bez sześciu minut. W 54 minuty można przekopać kawał ziemi w ogródku, można przeczytać ze dwa rozdziały powieści, można rozegrać mecz w siatkówkę lub ping-ponga, można pomalować płot przed domem, można jeszcze lepiej odrobić zadane lekcje i można wreszcie w ciepłym domu posłuchać radia. Kolej elektryczna to jednak nie tylko szybkość i większa częstotliwość pociągów — a więc zmniejszenie tłoku, ale także i dobre ogrzewanie wagonów, samoczynne zamykanie drzwi i pewne w działaniu elektropneumatyczne hamulce, to także odciążenie warszawskich tramwajów, których dotychczasowi pasażerowie jadą dziś wprost do śródmieścia koleją elektryczną.

Mieli więc powód do radości mieszkańcy obu zelektryfikowanych linii i mieli powód do dumy zasłużeni przy tej pracy ludzie, którzy z rąk wicepremiera Jędrzychowskiego a w obecności ministra kolei, Strzeleckiego, otrzymali wysokie odznaczenia państwowe. Ludzie ci, zebrani w nowowbudowanej remizie, napisali list do

Maty Tomek dziś jeszcze bawi się „parową” kolejką; gdy podrośnie, zabierze się jednak na pewno — jak jego ojciec, inż. Stanisław Kuczborski — do elektryfikacji kolei.

Inż. Kuczborski jest jednym z wyróżnionych za wybitne zasługi położone przy elektryfikowaniu kolei.



Prezydenta Bieruta, aby powiadomić Go, że postanowili w ciągu roku oddać do ruchu elektrycznego pierwszy odcinek linii Warszawa-Katowice, a to między Żyrardowem i Skierniewicami.

ROZWÓJ PAJĘCZINY

Coraz dalej i dalej rozchodzić się będą nad Polską misterne pajęczyny kolejowej sieci elektrycznej.

Wprost z gwaru uroczystości przenosimy się w zacisze pracowni odznaczonych właśnie za swą pracę inż. Stanisława Kuczborskiego — dyrektora Biura Elektryfikacji Kolei. To co nam powiedział, rysunki i wykresy, które nam pokazał, przeniosły nas myślą z miesiąca marca 1952 roku — zostawiając jednak w naszych czasach, gdyż tylko one umożliwiły realizację wczorajszych osiągnięć i umożliwią zamierzenia jutra. To czego się dowiedzieliśmy, to nie jakieś mrzonki, ale realne zadania bieżącej sześciolatki, nad którymi już obecnie się pracuje.

Lato 1954 roku. Jesteśmy na dworcu Łódź-Fabryczna, gdzie czeka właśnie lśniący stalą i szkłem aerodynamiczny pociąg elektryczny, składający się z 4 wagonów. Megafony głoszą: „Elektryczny pociąg pośpieszny do Warszawy odjedzie z toru drugiego przy peronie pierwszym. Proszę wsiadać!” Sakramentalne uzupełnienie formuły słowami „...i drzwi zamykać” straci rację bytu, gdyż drzwi zatraskują się samoczynnie.

Nadeszła godzina odjazdu. 188 pasażerów siedzi już wygodnie w numerowanych fotelach. Pociąg rusza bez szarpnięcia szybkim zrywem i już po przebyciu stu metrów biegnie z szybkością 60 km na godzinę, która na trasie dojdzie do 100 kilometrów na



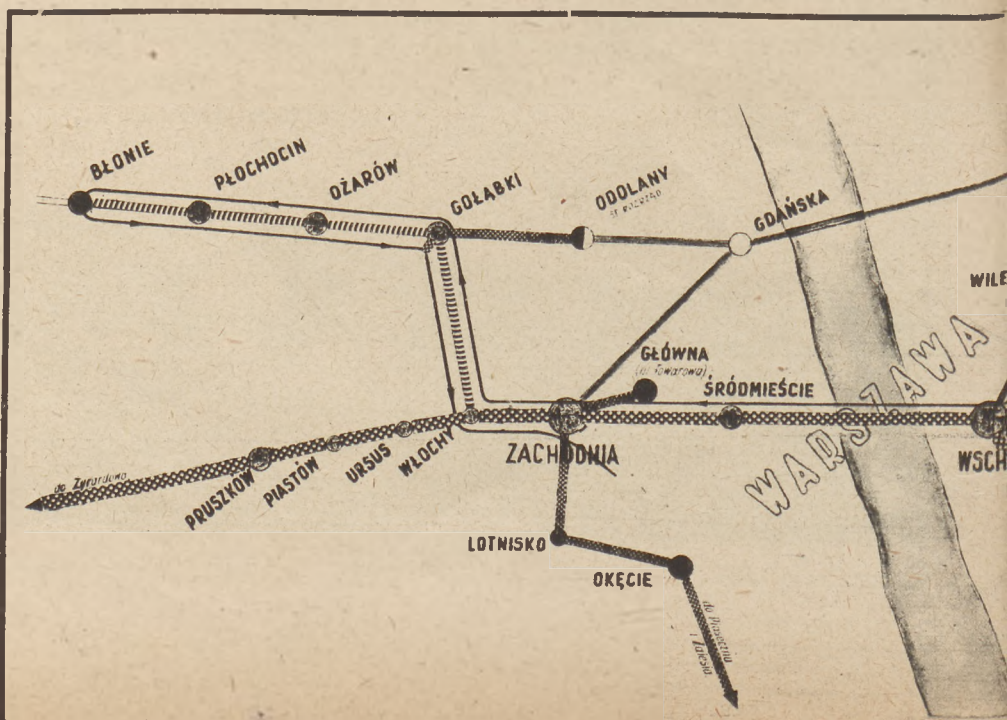
Elektryfikacja kolei przynosi krajowi olbrzymie oszczędności czasu, paliwa, siły roboczej, zapewnia podróżnym

maksimum wygody i bezpieczeństwa jazdy. Za dwa lata będziemy jechać niecałe półtorej godziny z

godzinę. Maszynista siedzi w wygodnej kabinie, której zazdroścą mu maszyniści parowozów, nie smaga go wiatr ani ślota, nie brudzi się węglem ani sadzami — obserwuje tylko zegary i wskaźniki, by na czas zdążyć do stolicy. Pośpiech obowiązuje; nie wiemy jeszcze co prawda, o której godzi-

nie odchodzić będą pociągi z Łodzi czy Warszawy, ale wiemy już na pewno, że jazda nie będzie trwała nawet półtorej godziny.

Ledwie zostawiliśmy Łódź za nami, a już kelnerzy „Orbisu” stawiają na stolikach, znajdujących się przed każdym fotelem pasażerskim, dania, przy-





Warszawy do Łodzi, a za trzy lata — trzy godziny i kwadrans trwać będzie jazda do Katowic.

w domu. Przecież jazda między tymi dwoma miastami nie trwa wcale dłużej niż przejazd tramwajem między dwiema dzielnicami Warszawy — Służewcem i Bielaniem.

PAROWOZOM WSTĘP WZBRONIONY

Rok 1955. Jesteśmy na dworcu w Katowicach. Za chwilę odejdzie elektryczny pociąg pośpieszny, który po jeździe z szybkością powyżej stu kilometrów na godzinę, przerwanej tylko na krótko przystankami w Częstochowie i Koluszkach, już po trzech godzinach i kwadransie znajdzie się w Warszawie.

Pociągi pośpieszne składające się ze zwykłych wagonów, jak np. międzynarodowy „Orient-Express“, otrzymają w Katowicach elektryczną lokomotywę, która przeciągnie je do Warszawy w ok. 3 godziny i 40 minut. Również i tak częste na tej ważnej magistrali pociągi towarowe zwiększą dzięki elektrowozom bardzo znacznie swe obciążenie i szybkość. Zasadniczo projektuje się, że na zelektryfikowane linie parowozy będą mieć — jako niepotrzebne przeżytki — wstęp wzbroniony.

Linia katowicka zostanie — w krótkim czasie przedłużona do Gliwic. W końcu sześciolatki będziemy mieli już w Polsce 650 km. zelektryfikowanych torów — gdy w ciągu całego międzywojennego dwudziestolecia zelektryfikowano około stu kilometrów — i to tylko w rejonie Warszawy.

Zysk z elektryfikacji kolei płynie dla naszej gospodarki narodowej nie tylko z oszczędności czasu i zdrowia ludzi. Można śmiało powiedzieć, że kosztowne inwestycje elektryfikacyjne opłacą się stokrotnie już choćby sama tylko 50-procentowa oszczędnością węgla, przy czym w kotłach elektrowni można spalać tak marne gatunki tego cennego surowca, jakich nie strawiłoby nigdy wybredne palenisko parowozu. Kolej elektryczna potrzebuje dla wykonania zadań przewozowych dwa razy mniej lokomotyw i personelu obsługującego, niż kolej parowa. O ile też lżejszą staje się praca kolejarzy, którzy odstawiają do lamusa łopaty palaczy parowozowych i strażycę będą niegrzeczne dzieci opowiadania o konduktorach, skaczących po drewnianych stopniach wagonów w tych zamierzonych czasach, kiedy to Solski nie skończył jeszcze stu lat a babcia, jako młoda dziewczyna, dostała od dziadzia parę steelonów z pierwszej polskiej produkcji. Bez żalu pożegnamy się z dymiącym samowarem, który służył nam wiernie w Polsce od roku 1845 — ale trudno, na sentymentalizm będziemy mogli sobie pozwolić w Muzeum Kolejowym, zaś w życiu zrozumiemy, że elektryfikacja kolei jest tak samo kierunkiem postępu technicznego, jak podobne procesy w przemyśle i rolnictwie.

JUTRO BĘDZIE ŁATWIEJ

Dziś wieczorem w osadach położonych przy liniach Warszawa-Błonie i Warszawa-Tłuszcz zasiadają do kolacji ludzie, którzy powrócili do domu i jutro znów pojadą do pracy w wy-



Polskie koleje wyszkoliły nowe kadry ludzi do obsługi skomplikowanych,

precyzyjnych aparatów elektrycznych niezawodnych w działaniu.

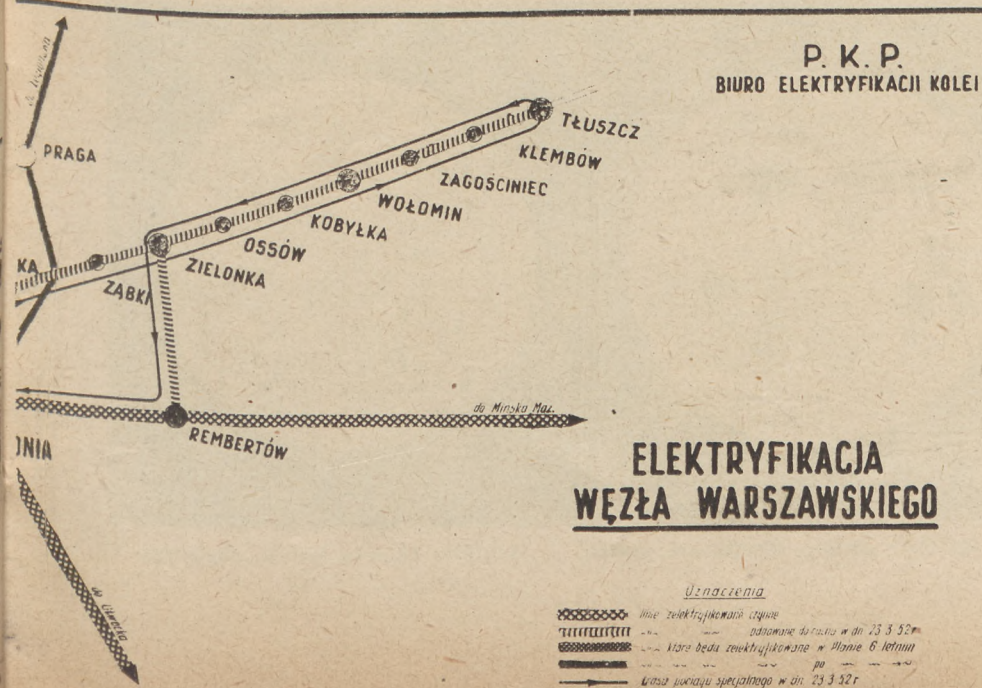
godnych wagonach przy wielkiej oszczędności czasu. Wagony te lśnią czystością — a murarze z Wołomina czy Zielonki nie dopuszczą chyba do tego, by padły one ofiarą łobuzerii, która niezawodnie wysła na trasę swe wzmocnione bojówki.

Dziś wieczorem znów na polskich torach kolejowych czają się wagony robocze, by dalej kraść żelaznym szynom chwile wypoczynku i snuć dalej misterną pajęczynę elektrycznego drutu.

LUCJAN WOLANOWSKI

Na każdej stacji na podmiejskim szlaku gromadziły się tłumy mieszkań-

ców, którzy otrzymali szybkie i wygodne połączenie z centrum Warszawy



SOJUSZNICY DŻUMY

Dnia 17 marca 1925 roku zawarto w Genewie konwencję międzynarodową, zakazującą używania broni chemicznej i bakteriologicznej. Do konwencji tej przystąpiły z czasem wszystkie państwa. Jedynie dwa nigdy jej nie ratyfikowały. Te dwa państwa to — JAPONIA i STANY ZJEDNOCZONE.

NOTATNIK DOKTORA KENTA

W CZASIE ostatniej wojny chińsko-japońskiej pracowała na terenie Chin liczna grupa lekarzy-Europejczyków. Wchodzili oni w skład ekip Czerwonego Krzyża i zajmowali się przede wszystkim walką z epidemiami, o które w warunkach wojennych było w Chinach łatwo.

Jednym z takich lekarzy był wiedeńczyk, dr H. Kent, który w roku 1942 przebywał w mieście Tau-juan (prowincja Hunan Północny). Kent prowadził w tym okresie notatki — i z nich właśnie zaczerpnięte zostały wiadomości o poniższych wydarzeniach.

Pewnego dnia chiński lekarz poprosił Kenta o przeprowadzenie sekcji zwłok kilku niedawno zmarłych mieszkańców miasta. Kent udał się do szpitala. Sekcja wykazała, że ludzie ci zmarli na dżumę. Były to — tak twierdzili lekarze chińscy — pierwsze wypadki dżumy w Hunanie.

Skąd się wzięła ta straszliwa choroba? O zawleczeniu jej z innych okolic nie mogło być mowy, gdyż Tau-juan było w tym czasie wskutek działań wojennych całkowicie odcięte od świata.

Doktor Kent notuje: „Wkrótce mogliśmy się przekonać o przyczynach wybuchu epide-

mii dżumy. Dwadzieścia pierwszych wypadków zachorowań zanotowano w jednej określonej dzielnicy, i tam właśnie kilka dni wcześniej działy się dziwne rzeczy. Pewnego ranka pojawił się nad miastem japoński samolot wywiadowczy, który przez pewien czas krążył bardzo nisko, niemal nad dachami. Z początku sądzono, że Japończyk fotografuje, ale mieszkańcy opowiedzieli, że samolot zrzucił paczuszki ryżu, skrawki materiału i kawałki waty. Nie umiano sobie tego wytłumaczyć, ale dla nas, lekarzy, sprawa była całkowicie jasna: to jest wojna bakteriologiczna!

Badanie zebranych ziarn ryżu wykazało, że są one pokryte bakteriami dżumy. Na wacie znaleźliśmy ekskrementy pcheł. Same owady zapewne od razu rozbiegły się, znalazły swoje ofiary i spowodowały pierwsze ciężkie wypadki dżumy”.

ZBRODNIA POD REFLEKTOREM

Notatnik doktora Kenta*) jest chyba pierwszym dokumentem o użyciu przez imperialistów japońskich broni bakteriologicznej w drugiej wojnie światowej. Nie daje on jednak pojęcia o rozmiarach akcji, ani o skali przygotowań, prowadzonych gorączkowo przez sztab japoński.

Proces japońskich zbrodniarzy wojennych w Chabarowsku był reflektorem, który z całą jaskrawością ukazał nie-ludzkie oblicze japońskiego militarysty. Główne ośrodki przygotowujące wojnę bakteriologiczną znajdowały się przy t.zw. armii kwantuńskiej, stacjonowanej w Mandżurii. W sierpniu — wrześniu 1945 roku armia kwantuńska została błyskawicznie rozbita przez wojska radzieckie. Jakkolwiek Japończykom udało się zniszczyć placówki szkodzące wojnę bakteriologiczną (t.zw. oddział nr. 731 i oddział nr. 100), w ręce

* Wyjątki opublikowało ostatnio wiedeńskie pismo „Die Woche” w nr. 11 z marca bż.

Armii Radzieckiej wpadły jednak ogromne ilości materiału dowodowego.

Na procesie, który odbył się w Chabarowsku w grudniu 1949 roku, stanęli przed sądem radzieckim dowódcy armii kwantuńskiej, odpowiedzialni za robotę prowadzoną przez oddziały nr 731 i nr 100, oraz współpracownicy tych oddziałów.

„SZEFEK PRODUKCJI” ZEZNAJE

Przytaczamy poniżej charakterystyczny moment zeznań jednego z oskarżonych, generał-majora Kiosi Kawasima. Kawasima, z zawodu lekarz-bakteriolog, był szefem sekcji produkcyjnej w oddziale nr 731.

PROKURATOR: W jakim okresie służyliście w oddziale nr 731?

KAWASIMA: Od kwietnia 1939 roku do marca 1943 roku.

PROKURATOR: Kiedy i na czyje zlecenie zorganizowano oddział nr 731?

KAWASIMA: W roku 1936, na rozkaz cesarza Japonii **.

PROKURATOR: Czy był to tajny rozkaz cesarza Japonii?

KAWASIMA: Tak, tajny.

PROKURATOR: Jakie sumy asygnowano na utrzymanie oddziału?

KAWASIMA: Dokładnej cyfry nie pamiętam, ale wiem, że w roku 1940 asygnowano na oddział 731 10 milionów jen.

PROKURATOR: Jaka była liczebność składu osobowego oddziału?

KAWASIMA: O ile pamiętam, rozkaz cesarza określił liczebność tego oddziału razem z filiami na 3000 osób.

PROKURATOR: Opowiedzcie sądowi, czym zajmował się oddział 731, co było istotną funkcją tego oddziału?

KAWASIMA: Oddział 731 zajmował się w pierwszym rzędzie działalnością naukową-

badawczą nad przygotowaniem wojny bakteriologicznej. ***.

Dalej Kawasima opowiada szczegółowo o strukturze oddziału nr 731, o pracy jego ośmiu sekcji. Sekcja 4 zajmowała się hodowlą bakterii w specjalnie skonstruowanych kotłach i kultywatorach.

FABRYKA MASOWEJ ŚMIERCI

Wróćmy jeszcze do zeznań Kawasimy, w których generał japoński opowiada o szczegółach działalności sekcji 4.

PROKURATOR: Jaką ilość bakterii tyfusu dawał jeden kultywator?

KAWASIMA: Od 40 do 45 gramów.

PROKURATOR: Dżumy?

KAWASIMA: 30 gramów.

PROKURATOR: Cholery?

KAWASIMA: Około 50 gramów.

PROKURATOR: Jak przechowywano bakterie, wyprodukowane w sekcji 4?

KAWASIMA: Przy krótkotrwałym przechowywaniu trzymano je w lodówkach.

Z kolei Kawasima opowiada o prowadzonej na szeroką skalę hodowli pcheł. Do tego celu służyło ponad 4000 kultywatorów, przy czym jeden cykl produkcyjny dawał do 45 kilogramów pcheł, które z kolei zarażano dżumą.

PROKURATOR: W jaki sposób zamierzano wykorzystać zadżumione pchły jako broń bakteriologiczną?

KAWASIMA: Za moich czasów uważano za najbardziej skuteczny sposób zrzucenie pcheł z samolotu.

PROKURATOR: Czy w czasie ekspedycji w Chinach także zrzucano pchły z samolotu?

KAWASIMA: Tak.

SPECJALISTA POD OPIEKĄ

Z zeznań Kawasimy i innych oskarżonych wynikało niezbicie, że na usługach imperialistów japońskich stał potężny aparat o ogromnych możliwościach pro-

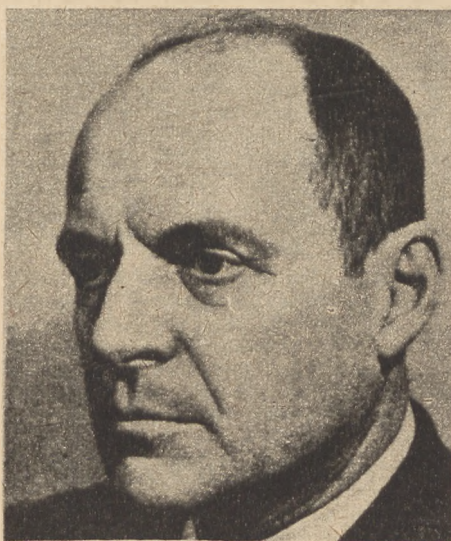
*** Według stenogramu procesu, wydanego w 1950 r. w Moskwie przez Państwowe Wydawnictwo Literatury Politycznej.



Cesarz Hirohito, z którego rozkazu zorganizowano w r. 1936 oddział Nr. 731.



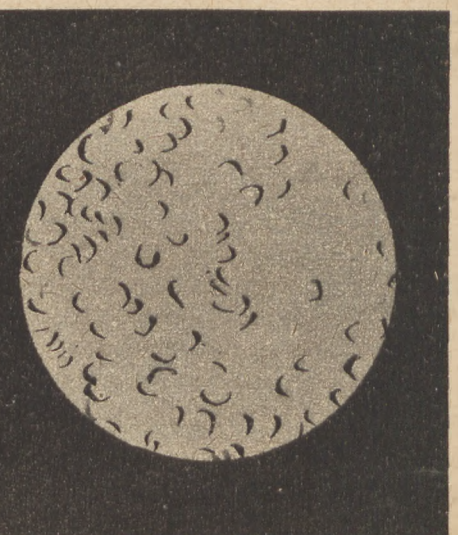
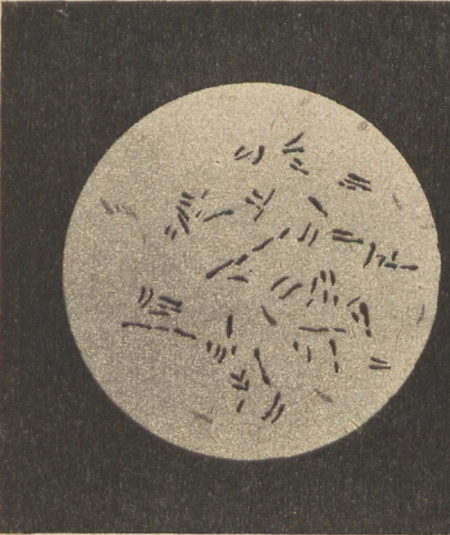
Admirał Leahy w r. 1944 oświadczył, że USA posiadają broń bakteriologiczną.



Generał Ridaway, który korzysta z usług zbrodniarza wojennego Isii Siro.



Minister obrony USA, Johnson, wierzy w skuteczność wojny bakteriologicznej.



Bakterie powodujące biegunkę (b. mallei).

Bakterie duru plamistego (bacl. typhi).

Bakterie dżumy (bacterium pestis).

Bakterie cholery (vibrio cholerae).

dukcji śmiertelnych bakterii. Jednym z twórców tej straszliwej fabryki masowej śmierci był człowiek, którego Kawasima wydał bez wahania. Na pytanie prokuratora:

— Kto opracował system kultywatorów dla produkcji bakterii?
Kawasima odpowiedział:

— Wynalazcą kultywatorów był generał Isii.

Nazwisko generała Isii Siro, jednego z twórców i wieloletniego szefa oddziału nr 731, padło wiele razy na procesie chabarowskim. Oto wyjątek z zeznań dowódcy armii kwantuńskiej, Iamada Otozoo, który mówi o swej inspekcji w oddziale nr 731.

PROKURATOR: Czy w czasie inspekcji oddziału Isii widzieliście wzory bomb konstrukcji Isii?

IAMADA: Tak, widziałem.

PROKURATOR: Do czego były te bomby przeznaczone?

IAMADA: Bomby te były przeznaczone do zrzucania zadżumionych pcheł. Bomby wybuchły na określonej wysokości i zadżumione pchły wysypywały się, zarażając terytorium.

Na podstawie zeznań oskarżonych w Chabarowsku władze radzieckie zwróciły się w roku 1950 do amerykańskich władz okupacyjnych w Japonii z prośbą o przekazanie Sądowi Międzynarodowemu zbrodniarza wojennego, organizatora wojny bakteriologicznej — Isii Siro, który ukrywał się w Japonii. Władze USA odmówiły. Dlaczego? To wyszło na jaw dopiero w rok później. Wkrótce po rozpoczęciu agresji amerykańskiej w Korei, Isii Siro został skierowany do sztabu Mac Arthura, a obecnie znajduje się na usługach generała Ridgway'a. W jakim celu? Na to pytanie odpowiedziały nam z kolei wypadki ostatnich tygodni. Agresorzy amerykańscy rozpoczęli wojnę bakteriologiczną przeciw Korei i Chinom.

MIĘDZYNARODÓWKA DŻUMY I CHOLERY

Isii Siro nie jest jedynym specjalistą od czarnej śmierci, pozostającym na usługach armii amerykańskiej. Dwaj jego rodacy, Wakamatsu i Kitano pracują w tej samej dziedzinie u gen Ridgway'a. Niedawno ściągnięto do USA hitlerowskiego generała Waltera Schreibera, który w czasie II wojny światowej specjalizował się w doświadczeniach bakteriologicznych na jeńcach w obozach zagłady. Obecnie Schreiber pracuje w ośrodku medycznym sił lotniczych USA w Randolph Field (stan Texas). Według danych, opublikowanych 12 marca br. przez „New York Times”, Stany Zjednoczone zatrudniają obecnie nie mniej niż 4000 specjalistów różnej narodowości, pracujących nad przygotowaniem broni bakteriologicznej.

Wspomnieliśmy na wstępie, że Stany Zjednoczone były — obok Japonii — jedynym państwem, które nie podpisało międzynarodowej umowy o zakazie broni bakteriologicznej. Nie, to nie było przeoczenie czy nieuwaga Departamentu Stanu. Imperializm amerykański zignorował dokument, który mógłby skrepić jego „swobodę działania”.

TROCHĘ O TRADYCJACH

Tam, gdzie istnieje rasizm i gdzie się krzewi nienawiść do innych narodów, tam może narodzić się zbrodnia ludobójstwa. Tak było w hitlerowskich Niemczech, tak było w imperialistycznej Japonii.

W Stanach Zjednoczonych nienawiść rasowa ma ugruntowane tradycje. Zbrodnicze „prawo lynchu”, istniejące już drugie stulecie, jest tylko jednym z przejawów krwawej w USA pogardy dla tzw. „ras niższych”. Od wielu lat reakcyjne koła w Stanach Zjednoczonych dzieła ludzkość według odcieni skóry. Na samym dole tej faszystowskiej „drabiny rasowej” znajdują się „czarni”, nieco wyżej „żółci i inni kolorowi”, następny szczebel zajmują

Włosi, Słowianie itd. Najwyższy poziom reprezentować mają — rzecz jasna — „supermani” czystej krwi.

Równie stare, jak rasizm, są w USA tradycje ludobójstwa. Nie inaczej bowiem, jak ludobójstwem, należy nazwać masowe wyćpienie Indian na kontynencie amerykańskim.

Warto przy tym zanotować charakterystyczny fakt: wojnę bakteriologiczną jako formę ludobójstwa propagowano w Stanach Zjednoczonych już przeszło sto lat temu. Oto w pierwszej połowie ubiegłego stulecia generał amerykański Amgerst pisał: „Czy nie można spróbować rozpowszechnienia ospy wśród buntowniczych plemion indyjskich? Trzeba wykorzystać wszelkie sposoby dla ich ujarznienia”. I Amgerst wysuwał konkretną propozycję: należy Indianom podrzucać koce, zakażone ospą...

DEMASKUJĄ SIĘ SAMI

Między Amgerstem a Trumanem istnieje różnica tylko w skali działania. Między słowami Amgersta a wypowiedziami wybitnych amerykańskich wojskowych nie ma żadnej różnicy. Oto co mówią czołowi działacze amerykańskiej klikki wojskowej:

Louis Johnson, minister obrony: „Zapewniam was, że doskonale zdajemy sobie sprawę z możliwości, leżących w dziedzinie prowadzenia wojny chemicznej i bakteriologicznej...” (marzec 1950).

Gen. Charles Looks, zastępca naczelnika korpusu chemicznego armii amerykańskiej: „Materiały chemiczne można także wykorzystać przeciwko ośrodkom przemysłu wojskowego i, moim zdaniem, okazać się one środkami wielce skutecznymi...” (22. I. 1951).

Gen. Harold Bull, kierownik biura do spraw wojny bakteriologicznej: „Rozsiewanie zarazków drogą powietrzną... wchodzi w zakres pracy badawczej prowadzonej przez armię i flotę...” (1950).

Gen. William Creasy, szef oddziału badań korpusu chemicznego: „Naczelnik korpusu chemicznego*) obciążył oddział badań... odpowiedzialnością za wszystkie badania i udoskonalenia środków prowadzenia wojny chemicznej, bakteriologicznej i radiologicznej... Uważam, że przygotowywana przez nas broń może pozwolić — przy minimalnych rozchodach, związanych z transportem — zmniejszyć zdolność przeciwnika do oporu... Niejednokrotnie o wyniku konfliktu decydowały mikroby, a nie generałowie...” (25. I. 1952).

ZBRODNIARZE W AKCJI

Takich wypowiedzi, jasnych i niewątpliwych, można by przytoczyć więcej. To samo mówił w roku 1944 admirał William Leahy, to samo powtarzał w r. 1951 doktor Rosebury, amerykański Isii Siro.

Dnia 28 stycznia 1952 roku siewcy dżumy przeszli od słów do czynów. Na Koreę i północno - wschodnie Chiny zaczęły padać pierwsze pociski z bronią bakteriologiczną. Bakterie, wypróbowane uprzednio na jeńcach obozu Kożedo, rozpoczęły służbę w „siłach zbrojnych ONZ”. Dziesiątki samolotów amerykańskich rozrzucają zarażone pchły, moskity i muchy, rozsiewając najstraszliwsze choroby. Prasa koreańska opublikowała już zdjęcia bomb służących do rozsiewania zakażonych insektów.

Zbrodnia amerykańskich ludobójców wstrząsnęła opinią świata. Ze wszystkich krajów popłynęły protesty przeciw barbarzyństwu agresorów, przeciw depntowaniu podstawowych zasad ludzkiej moralności. Na miejsce zbrodni udały się komisje rządu chińskiego oraz Międzynarodowego Zrzeszenia Prawników-Demokratów, by zbadać szczegóły hańbiących czynów lotnictwa amerykańskiego.

Ludzkość zna nazwiska barbarzyńców, rozsiewających czarną śmierć. Zna — i zapamięta.

E. KARŁOWICZ

* Generał-major Ballen (przyp. Red.).

ŚWIAT przypomina!

STASZIC O NIEDOSTATKU PASZY

Niedostatek paszy w Polsce, pociągający za sobą trudności hodowlane i niedobór zwierząt rzeźnych — to wcale nie nowa bolączka. To bolączka odziedziczona z dawnych czasów, nawet nie domyślamy się z jak bardzo dawnych. Bierze się ona nie tylko z międzywojennego dwudziestolecia, ale jeszcze z rabunkowej gospodarki szlachecko - obszarnej w czasach pańszczyzny. Oto w roku 1790 w swych „Przestrobach dla Polski” mądry Stanisław Staszic pisał:

„...Bez miast rolnictwo wydoskonalić się nie może.



Bez wydatków gruntowych nasze folwarki muszą mieć więcej wód, stawów, bagnisk, błot niżeli łąk: dla szczupłości paszy strasznie mało w Polsce inwentarza.

Bez inwentarza rolnictwo w Polsce nie jest jeszcze sztuką”.

„SPRZEDALI NAS...”



Na Kongresie Wiedeńskim, po upadku Napo-

leona, zabiegali niektórzy o postawienie sprawy niepodległości Polski. Kościuszko w liście do Józefa Sierakowskiego, pisanym dnia 9 stycznia 1816 roku, tak określał politykę tych, którzy przeciwstawili się dążeniom narodowym Polaków:

„Odpowiedziałeś bardzo dobrze przyjaciółom w Anglii, gdyż w samej rzeczy sprzedali nas jak bydło...”

„JESTEM WIERNĄ PROTESTANTKĄ...”

Różni krzykacze zagraniczni biadają nad tym, że nasz projekt

Konstytucji przeprowadza w Polsce zasadę rozdziału kościoła od

państwa. Londyn, Nowy Jork itp. grzmią o rzeckom naruszeniu w Polsce Ludowej zasady wolności wyznania. Tak, jakby ta wolność nie polegała na tym, że każdy wyznaje jaką chce religię i że wyznawanie lub niewyznawanie tej czy innej religii w niczym, w żadnych prawach obywatelskich go nie ogranicza. Szkoda tedy, że londyńskie BBC nie opowiedziało trochę o wolności wyznania w Anglii. Szkoda na przykład, że nie podało tekstu przysięgi, złożonej przez Elżbietę II przy okazji wstąpienia na tron. A przysięga ta brzmi jak następuje:

„W obliczu Boga wyznaję, poświadczam i stwierdzam uroczystie i szczerze, że jestem wierną protestantką i że zgodnie z prawdziwą intencją przepisów gwarantujących protestanckie następstwo tronu mego królestwa, będę przepisów tych przestrzegać i je zachowywać w miarę moich sił, zgodnie z prawem”.

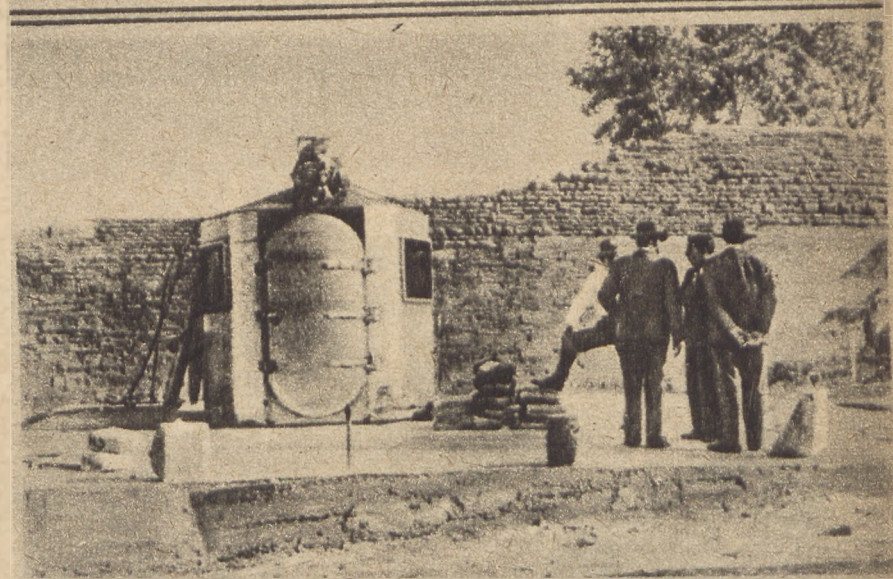
Kto jeszcze nie wie, ten się z tej rotacji przysięgi dowie, że król angielski nie może być katolikiem. I nie tylko król. Do dziś wiele wysokich urzędów w Anglii jest zastrzeżonych wyłącznie dla protestantów. Nie takie to zresztą dawne czasy, kiedy w Anglii dopuszczono katolików do niektórych urzędów.

Tak wygląda u nich „wolność sumienia i wyznania”.

WZÓR DLA OŚWIECENIA

Mówimy, że Amerykanie dużo się nauczyli od hitlerowców. To prawda, ale trzeba stwierdzić, że i hitlerowcy uczyli się od Amerykanów. Oto przykład:

EGZEKUCJE PRZY POMOCY GAZU.



W stanie Missouri w Stanach Zjednoczonych A. P. gdzie dotychczas skazyanych na śmierć wieszano, wprowadzono obecnie egzekucje przy pomocy trujących gazów w t. zw. domu śmierci, czyli w doskonale uszczelnionej komorze stalowej, w której skazaniec zostaje zamknięty (na zdjęciu). Scherl. Berlin.

Ilustracja ta wraz z podpisem pochodzi z polskiego pisma „Światowid”, numer 51, z dnia 18 grudnia 1937 r. Fotografia, jak wynika z krótkiej wzmianki na końcu, została nadesłana przez niemiecką agencję „Scherl”. Już wówczas widać — interesowano się w Berlinie amerykańskimi zdobyczami mordowania ludzi w komorach gazowych. Rzeczywiście w kilka lat później wynalazek amerykański zastosowano w wielkim zakresie — w Oświęcimiu.

50.000 DOLARÓW

KALIKST WOLSKI

POŻEGNAWSZY się serdecznie ze wszystkimi towarzyszami, wyruszyliśmy z Bussy w drogę w dniu dziewiętnastym listopada, który w Texas jest jednym z najpiękniejszych miesięcy w roku, i przybyliśmy do Austin, stolicy stanu, w dniu dwudziestym trzecim wieczorem. Nazajutrz z rana wszedłszy do wspólnej sali hotelowej, dla zapłacenia przed wyjazdem należności za nocleg, kolację i śniadanie, wypytaliśmy się jak daleko jeszcze do St. Antonio, gdzie się ma odbyć wybór na reprezentanta Kongresu w dniu dwudziestym piątym tego miesiąca i czy mamy dosyć czasu, abyśmy tam zdążyli. Właściciel hotelu odpowiedział nam, iż jeszcze jest półtora dnia drogi, chyba że się odważymy jechać całą noc, a wówczas moglibyśmy stanąć nad ranem, lecz nie radził nam tego czynić, bo bez znaczniejszej eskorty i to dobrze uzbrojonej, nie bardzo bezpiecznie jest wojażować w nocy w tym kraju, dżicy bowiem bandyci się włóczą i jak w nocy napotkają dwóch lub trzech tylko jadących — skalpują ich, zabierając konie lub muły i uciekają...

Jakiś pan będący w tej chwili w sali przysłuchiwał się tej rozmowie z hotelistą, a przystąpiwszy do nas rzekł: „Skoro tak usilnie chcecie się panowie dostać do St. Antonio na wybory, sądzę, że jeden z was jest kandydatem na reprezentanta, w takim razie życzę mu szczęśliwego powodzenia i oświadczam, iż jednego współzawodnika będzie miał mniej do zwalczania, bo ja nim byłem, lecz uciekam od tej zarazy, nie chcąc mieć żeber połamanych, nóg lub rąk pokaleczonych albo głowy roztrąskanej i wolę, wróciwszy do Nowego Orleanu, być subiektem w jakim składzie bawełny lub cukru, a nareszcie pieprz sprzedawać, aniżeli reprezentować w Kongresie tak słodkich i miłych mieszkańców jakimi są Teksasycy.”

Poczem wyszedł z sali, siadł na konia i odjechał z kilku towarzyszami, którzy na niego przed bramą hotelu czekali.

Gdyśmy się zapytali właściciela hotelu i kilku innych podróżnych, którzy w tym czasie nadeszli do sali, co mają znaczyć słowa wyrzeczone przez tego jegomościa który nas dopiero co opuścił, opowiedziano nam całą jego historię i ganioną niewytrwałość jaką okazał, nie broniąc uparcie swojej kandydatury, a przez to tracąc korzyści, jakie byłby osiągnął, gdyby był został wybrany na reprezentanta w Kongresie.

Opis wyborów amerykańskich, pochodzący z połowy wieku XIX stanowi fragment zapomnianej i ciekawej polskiej książki podróżniczej, wydanej w Londynie w roku 1876 p. t. „Do Ameryki i w Ameryce”. Autorem jej był Kalikst Wolski. Urodzony w roku 1816 na Lubelszczyźnie, bierze udział w powstaniu listopadowym, a następnie dzieli losy Wielkiej Emigracji. We Francji zdobywa wiedzę techniczną, znany jest jako konstruktor tamy morskiej w Dieppe oraz jako twórca projektów wielu linii kolejowych.

Bierze czynny udział w Wiośnie Ludów, związany z grupami socjalistów utopijnych, skupionych pod hasłami Fouriera. Po dojściu do władzy Napoleona III wraz z grupą emigrantów francuskich udaje się w roku 1852 do Ameryki, gdzie przebywa przez osiem lat. Wraz z Francuzami współdziała przy tworzeniu falansterów, osad robotniczych, mających stać się zalążkiem ustroju socjalistycznego, a w rzeczywistości w warunkach kapitalistycznych skazanych na rychłą zagładę. Istotnie bolesne doświadczenia Wolskiego i jego francuskich współtowarzyszy, jak i współtowarzyszy innych narodowości, dowiodły mylności i błędności założeń Fouriera, Proudhona i innych, a słuszności nauk Marksa i Engelsa, odkrywających istotę walki klasowej i wytyczających słuszną drogę rozwoju ruchu robotniczego w kierunku zdobycia władzy politycznej i obalenia kapitalizmu. Obserwacje Wolskiego z Ameryki są niezwykle trafne i ciekawe. Te wybory gubernatora to jakby kanwa, na której miał następnie osnuć swoje opowiadania Mark Twain. Polski emigrant polityczny i wielki pisarz amerykański w podobny sposób patrzyli na rzeczywistość i na „demokrację” amerykańską.

Był to Don Miguel y Conha y Grabos etc. etc. urodzony w Luizjanie, potomek znakomitej niegdyś rodziny hiszpańskiej, która przed półtora przeszło wiekiem osiadła była w Ameryce, gdzie doszła do bardzo znacznego majątku.

Po śmierci rodziców, zaledwie w 18 roku życia odziedziczył Don Miguel cały ów majątek, składający się z dużych obszarów, gdzie rosły: trzcina cukrowa i bawełna, wraz z 500 Murzynami obojga pici do uprawienia tych produktów południowej Ameryki, również z wielu zabudowań potrzebnych do wyrabiania cukru i pras ugniatających bawełnę. Wszystko to wynosiło około 2.000.000 dolarów (17.000.000 złp).

Młody, pan wielkiego majątku, oddał się z całą namiętnością, jaką cechuje ludzi urodzonych pod gorącym niebem Luizjany, rozkoszom tego świata.

W stanach południowych praca za czasów niewolnictwa była pogardzoną i wszyscy bez wyjątku właściciele Murzynów, oddawali się słodkiemu farniente. Ten co miał tylko jednego lub dwóch niewolników, żył wyłącznie z ich pracy, sam wstydząc się jakiegokolwiek zatrudnienia. Ten zaś co miał ich pięciuset, a ci przynosili mu pół miliona dolarów (przeszło 4.000.000. złp) dochodu — hulał co tylko mógł.

Don Miguel y Conha y Grabos etc. hulał tedy nielitościwie. Nowy Orlean, Hawana, Nowy Jork, Baltimore, Filadelfia, nie zdawały mu się przedstawiać dosyć rozrywek, pojechał więc do Londynu, skąd znudzony się, umknął na stały ląd europejski i oparł się w Paryżu, w tym Eldorado wszystkich birbantów całego świata, gdzie z nieskrepowaną swobodą i rozkoszą zużywał swój młodociany wiek i ogromny majątek po rodzicach odziedziczony.

Trwała ta nieustająca uczta przez lat kilka, aż nareszcie jego majordom (rzadca) w Luizjanie, który mu ciągle dosyłał pieniędzy a swoje interesa przy tym nieźle prowadził, na nowe żądanie funduszy napisał mu, iż z pięciuset Murzynów nie pozostało jak trzydziestu kilku, a fabryki wyrabiające cukier, równie jak prasy tłoczące bawełnę, tak są obdłużone, że niepodobieństwem mu jest nadal zasilac pieniędzmi swego pana, uwiadamiając zarazem, iż powinien sam przybyć do Luizjany i zarządzać resztkami swego mienia, bo on (rzadca) przyzwyczajony gospodarować na wielkich tylko majątkach, zgodził się do innego właściciela, bardzo bogatego.

Po odebraniu takiego listu Don Miguel zrozumiał dopiero, że największe bogactwa mogą się wyczerpać... Opuścił więc kochany Paryż i wsiadłszy na jeden z parowców powracał smutny do Nowego Orleanu. Przez piętnaście dni podróży morskiej łamał sobie głowę, jakim by sposobem przyjść na nowo do wielkiego majątku, który tak nieogłędnie i w niedługim czasie roztrwonili.

Praca, spekulacje wszelkiego rodzaju, nie przedstawiały mu żadnego widoku, bo pracować nie przystało mu i nie umiał; do spekulacji zaś potrzeba było mieć umysł przedsiębiorczy i znaczne kapitały, a ani jednego ani drugich nie posiadał. Wpadł więc na myśl, wspólną wszystkim młodym jeszcze birbantom, którzy puściznę po ojcach nieogłędnie roztrwonili... ożenienia się bogato.

Z tą myślą wylądował w stolicy Stanów Zjednoczonych Południowych, odwiedził wszystkich faktorów miasta, trudniących się kojarzeniem małżeństw. W Stanach bowiem, gdzie niewolnictwo Murzynów istniało, z małżeństw robili sobie właściciele niewolników równie ohydny handel, jaki się przytrafia w niektórych krajach Europy.

Faktorzy małżeństw ofiarowali mu swe pośrednictwo, wskazując mu kilka panien Kreolek, posiadających po 50, 80, 100, 120 i 150 Murzynów, lecz to wszystko było za mało dla naszego

bohatera, co zaledwie skończył 25 lat wieku, a przy tym był przystojnym i wykształconym w towarzystwach paryskich.

Znalazł wreszcie czego szukał. Jedną z pozostałych mu Murzynek miała siostrę niewolnicę u kreolskiej piękności już od dawna pełnoletniej a utykającej trochę na jedną nogę, która była właścicielką 500 Murzynów (tyle co on miał kiedyś) i pragnęła bardzo pójść za mąż.

Opanowany gorączką dostania żony z dużym posagiem, słucha każdego co mu ją nastęrcza, choćby nawet czarnego niewolnika. Nasz ex-birbant słuchał zatem z chciwością opowiadań Murzynki, która lubiąc swego pana, życząc mu dobrze, a nade wszystko bojąc się być sprzedaną innemu, namawiała go do małżeństwa z bogatą Kreolką.

Don Miguelowi y Conha y Grabos etc. etc. nie chodziło wcale ani o młodość małżonki, ani o to czy chodziła prosto, lub troszkę utykała, pragnął on tylko złota, jak najwięcej złota, tego marnego kruszcu, bez którego nie można zadośćuczynić swoim fantazjom. Zaufany w swą urodę i umiejętność nabytą w Paryżu panowania nad sercami kobiet, nie wątpił, iż gdy pojmie bogatą Kreolkę w małżeństwo, łatwo nakłoni ją do porzucenia Ameryki, a zamieszkania w stolicy świata eleganckiego, gdzie wedle jego pojęć jedynie żyć było można.

Szybko więc i zrećnie wziął się do dzieła i w piętnaście dni po pierwszym jej przedstawieniu oświadczył, iż chce ją pojąć w małżeństwo. Podobną się niemłodej już Kreolce tak urodziwy i dowcipny zalotnik, przystała więc od razu na jego oświadczenie, pod jednym jednak warunkiem: chciała aby spoważniał nieco i wymagała, aby został reprezentantem narodu na Kongresie Waszyngtońskim oświadczając, iż skoro tylko zostanie wybrany przez elektorów jakiegokolwiek okręgu, odda mu swoją rękę wraz z prawami własności nad wszystkimi obszarami cukrowni, bawełny i 500 czarnymi niewolnikami.

Don Miguelowi spieszenie było żenić się bogato, bo dłużnicy natarczywie nacierali, nie mógł więc czekać wyborów ogólnych, które dopiero za pół czwartą roku miały mieć miejsce; przedstawiał on swej narzeczonej ten fakt, który pozbawiał go na tak długo uszczęśliwienia, jakie sobie obiecywał w małżeńskich związkach; lecz niezłomna w swym postanowieniu pełnoletnia Kreolka, oświadczyła mu, iż obszerne są Stany Zjednoczone, codziennie prawie zdarza się, iż jeden z reprezentantów umiera lub też opuszcza swe stanowisko, a w takim razie wypadają cząstkowe wybory.

Z gorączkowym niepokojem szukał więc tych cząstkowych wyborów i dowiedział się nareszcie, iż takowe właśnie miały się odbyć w Texas, okręgu St. Antonio.

Don Miguel zebrał wszystkie dowody potrzebne, jako to: akt urodzenia, który świadczył wymagalny wiek i zapewnienie jako jest obywatelem amerykańskim; świadectwa, iż nie był pociągany w żadnej sprawie kryminalnej, stanu i religii; pożytych od lichwiarzy Nowego Orleanu 50.000 dolarów (bo na podobne wybory trzeba w stanach południowych dużo pieniędzy) na przyszły posag żony, dając tymczasowo w zastaw pozostałych mu trzydziestu kilku Murzynów, równie jak budowę fabryk cukrowni i prasy od bawełny, które, chociaż znacznie obdłużone, przedstawiały jeszcze dostateczną gwarancję; wynalazł agenta elekcyjnego pana Hopkana, trudniącego się przygotowaniem elektorów i posłał go do St. Antonio zaopatrzywszy w 25.000 dolarów na pierwsze potrzeby elekcji, a nareszcie na kilka dni przed wyborami wyru-



„Agitatorzy” — sztych amerykański z połowy XIX wieku.

szyl sam, w towarzystwie kilku przyjaciół i służby, w drogę do Texas, mając w kieszeni drugie 25.000 dolarów na dobicie zaczętych przez swego agenta targów.

Już był minął Austin, stolicę stanu, którego pochlebiał sobie iż zostanie reprezentantem na Kongres, i miał tylko pół dnia drogi, aby dojechać do St. Antonio, gdy napotkał pędzącego w cwał naprzeciw niemu posłańca z listem pana Hopkan. Agent uwiadomił Don Miguela, ażeby się wstrzymał w drodze i nie przybywał do St. Antonio aż nazajutrz i to bardzo późno w nocy.

— Aha! — rzekł Don Miguel do towarzyszy podróży, po przeczytaniu listu — rozumiem dlaczego uprasza Hopkan abym nie przybywał, aż jutro i to w nocnej porze. Pewnie przygotowani mieszkańcy i elektorowie urządzają jaką ucztę na przyjęcie swego kandydata i ta nie jest jeszcze gotowa; niezawodnie chcą wyprowadzić jakieś fajerwerki i rzesisto uilluminują miasto. Niechaj i tak będzie, zastosuję się do ich woli.

Stanawszy w lesie, kazał służbie założyć obozowisko, rozpałcić ogień, przygotować kolację, a tymczasem wzięszy strzelbę, poszedł ze swymi towarzyszami podróży ubić kilka sztuk zwierzyny. Przynieśli istotnie kilka turkawek i królików parę, zaczęto je po oprawieniu piec przy ogniu, obiecując sobie smaczniejszą jak zwykle w tych krajach wieczerę. Po niejakej chwili jakiś tętent cwałującego konia dał się słyszeć naprzód z daleka, potem coraz bliżej, aż nareszcie ujrano tuż przy ognisku jeźdźcę, który niepokojnym głosem zapytał, czy to jest obozowisko Don Miguela y Conhaya Grabos, kandydata, udającego się na wybory do St. Antonio. Na potwierdzającą odpowiedź zsiadł szybko z konia, a rozpatrzywszy się nieco w ciemności poznał Don Miguela i przybliżywszy się prędko do niego rzekł:

— Każ pan zagaścić ognisko, okulić konia i ruszajmy jak najprędzej w bok drogi prowadzącej do St. Antonio, bo banda zapłacona przez Tomburka, agenta elektoralnego, działającego dla pułkownika Mac Fertana, również kandydata, pańskiego współpracownika, wyjechała konno z miasta w celu napadnięcia na pana i zaprowadzenia w jaką ustron, tak, ażebyś pan nie mógł się stawić w oznaczonym dniu na elekcję, a przez to zapewnił wybór ich kandydata. Wiedziałem ja, że się coś nieprzyjemnego gotowało na przyjęcie pańskie, gdy będziesz wjeżdżał do miasta i dlatego dziś rano wysłałem posłańca z listem, wymagając, abyś pan nie przyjeżdżał aż jutro i to późno w nocy. W kilka godzin później moi ludzie uwiadomili o nowym planie, to jest wyjechania naprzeciw pana, stoczenia z nim bójki, porwania go i zatrzymania na ustroniu aż do następnego dnia po wyborach. Wsiadłem zaraz też na koń i manowcami mi znanymi wyprzedziłem ich, dając panu znać o tym... Trzeba zatem jechać boczna drogą na teraz i jutro również bocznymi drogami pokryjomu, późno w nocy wjechać do miasta — będzie to już bardzo ważny krok, jak nie widziany wemkniesz się pan do St. Antonio. Pułkownik Mac Fertan musi już być obwarowany w jakim domu, lecz jego stronnicy trzymają to w tajemnicy. Tymczasem dawaj mi pan jak najwięcej pieniędzy, ja wrócę zaraz do St. Antonio i przez dzień jutrzejszy pomnożę liczbę stronników pańskich. A wiele przywoziłeś pan z sobą?

— Przywożę 25.000 dolarów — odrzekł Don Miguel — ale zdaje mi się, iż za sumę, którą cię zaopatrzyłem, panie Hopkan, gdyś wyjeżdżał do St. Antonio, powinienes być już dotychczas zjednać nam znaczną liczbę stronników i tych obowiązkiem było zaślubić mnie przed napadem.

— Zaraz panu zdam rachunek — rzekł Hopkan — z 25.000 dolarów, które mi powierzyłeś dla przygotowania elekcji, ale ruszajmy jak najprędzej w drogę boczna, bo lada chwila przeciwnicy mogą nas tu napaść, a w takim razie wszystko przepadłoby.

Po niejakiem czasie marszu nielicznej drużyny, uchodzącej napaści przeciwników będących w daleko więk-

szej liczbie, i gdy ciemna noc ochraniała bezpiecznie, pan Hopkan, jadąc koło Don Miguela zaczął mu zdawać rachunek z funduszy, jakie otrzymał.

— Nie uwierzysz mi, panie kandydacie — mówił agent elekcyjny — jak ten towar, co nazywają głosami elektorów, podrożał w ostatnich czasach; udawałem się do wigów i do demokratów, myśląc, iż panu zupełnie wszystko jedno, jaką opinię będziesz reprezentować na Kongresie, bylebyś był wybranym, lecz w obu obozach trzymają się jednakowej ceny i nie chcą ani na centa ustąpić... i dlatego obawiam się, czy 25.000 dolarów, jakie pan z sobą przywozisz, wystarczą nam na zakupienie większości głosów i zjednanie stronników, co by zechcieli czynnie popierać pańską elekcję.

— Jednakże za 50.000 dolarów miełano zawsze zapewnione miejsce w Kongresie — odezwał się Don Miguel.

— Dawniejszymi czasy, to prawda, lecz teraz przemysł w elekcjach znacząco postąpił i jeżeli dalej tak potrwa,



„Dyskusja w Kongresie“ — sztych amerykański z połowy XIX wieku.

to głosy elektorów w Stanach Zjednoczonych tak będą drogo płacone, jak głosy tenorów w wielkiej operze paryskiej. Podawałem zadatki już wielu elektorom, lecz nie chcą się oni ruszyć ani kroku, aż całkowicie zapłacony zostaną, i na to wydałem 10.000 dolarów.

— Zostało ci więc panie Hopkan 15.000 dolarów. Na cóż te mogły być obrócone?

— Nająłem obszerny hotel Galwestoński, gdzie stronnicy pana przez cały czas wyborów mają być pomieszczeni i obsługiwani. Już on jest w części zajęty, ale wszyscy tak dobrze jedzą, piją i hulają, że z 5.000 dolarów, jakie dałem na zadatek, już mało pewnie zostało, i zdaje mi się iż trzeba będzie dopłacić dwa razy tyle, gdy całkiem zapełniony zostanie.

— To znaczy 15.000 dolarów i zdaje mi się, iż to już powinno być wszystko, panie Hopkan.

— Niechaj pan kandydat uzbroi się w trochę cierpliwości, a wyrachuję się co do centa. — Nająłem, oprócz powyżej wymienionych wydatków, najokazalszy dom miasta w pańskim imieniu na miesiąc trzy, za co zapłaciłem z góry 2.000 dolarów komornego; nie wypadło najmować coś podrzędniejszego, bo okazałość i zamożność kandydata, wpływa dużo na opinie elektorów.

— Po cóż ten niepotrzebny wydatek... Przez dni kilka, przez które przygotowania i wybory trwać mają, byłbym się umieścił w hotelu Galwestońskim, który najęty już został dla moich stronników, i nie potrzeba było najmować osobnego domu, szczególnie na tak długo.

— Przepraszam pana, ale może pan będzie zmuszony zatrzymać się dłużej, aniżeli tych kilka dni przygotowań i wyborów.

— Jak to dłużej?... A po cóż?

— Bo w jednej z potyczek czynnych elektoralnych, jakie nieuchronnie nastąpią, możesz pan być ranny, nawet niebezpiecznie, i w takim razie lepiej panu będzie leżeć i kurować się w domu naumyślnie dla pana najętym, aniżeli w hotelu gdzie wieczny gwar, kręcenie się, przechadzanie itd.

— Przyznam się, że o podobnych rzeczach nie słyszałem, nie przewidywałem więc potrzeby mieć ochrony na wyłączenie się z ran.

— O! Niechaj pan będzie spokojny. Ja wszystko przewidując, zamówiłem najlepszego chirurga z Nowego Orleanu, którego na koszt pański już sprowadziłem do St. Antonio, i w tym domu jaki dla pana nająłem, już się rozgospodarował, przygotowując dużo szarpi, bandaży, pijawek, baniek, balsamów itd., jednym słowem wszystko to, co potrzeba do rychłego opatrzenia ran lżejszych lub niebezpiecznych, a to sprowadzenie wraz z nabyciem tych wszystkich potrzebnych

Porachujmy więc wszystko:
Zadatki na kupno głosów . 10.000
Hotel Galwestoński dla pomieszczenia stronników . 5.000
Najem domu na trzy miesiące 2.000
Sprowadzenie chirurga z Nowego Orleanu i kupno czego potrzeba . 2.000
Sprowadzenie pomocnika chirurga i kupno łóżek, apteki, itd. . 3.000
Razem więc jeżeli się nie myłę stanowi to rachunek z 22.000

Z pozostałych jeszcze trzech, złożyłem 2.000 dolarów u notariusza na nieprzewidziane reperacje najętego w pańskim imieniu najokazalszego w mieście domu.

— Nie rozumiem tego wydatku, panie Hopkan, chciej mi go wytłumaczyć — zapytał Don Miguel.

— Nic nie ma naturalniejszego — odrzekł agent elekcyjny — bo skoro tylko wiadomym będzie w mieście, iż pan jako kandydat przybyłeś i stanąłeś w domu dla ciebie najętym, stronnicy współzawodnika pańskiego, pułkownika Mac Fertana zgromadzą się tłumnie z kamieniami w rękę przed domem i wybiją wszystkie szyby.

— Pozwalam i na tę swawolę — rzekł poważnie kandydat — ale w tym domu nie znajduje się pewnie i 300 szyb, i przecie każda szyba nie kosztuje jednego dolara; można było więc załatwić ten wydatek najwięcej 200 dolarami.

— Toteż jest prawie niezawodną rzeczą, iż nie na tym się skończą uszkodzenia budynku; będzie bowiem pewnie jakaś część domu zwalona, drzwi powysadzane i spalone, meble pogruchotane i tym podobne szkody popełnione zostaną. Na reperację zatem tychże szkód złożyłem według zwyczaju w ręce notariusza 2.000 dolarów, a nawet, między nami mówiąc, właściciel wcale nie ostrożnie przystał na tak małą kwotę, a my z tego korzystamy, bo bardzo być może, iż nie na tym tylko się skończy i jak to często w elekcjach się zdarza, cały dom będzie do szczytu zburzony i nie pozostanie nawet kamień na kamieniu. W takim razie, już za nic odpowiadać nie będziemy, bo właściciel przystał na złożoną przeze mnie gwarancję 2.000 dolarów i podpisał, że się zgadza.

— Ciekawy istotnie jestem na jakie jeszcze nieprzewidziane wydatki, wydałeś panie Hopkan ostatnie 1000 dolarów, które ci powinny pozostać.

— Na ten ostatni tysiąc, posiadam kilka małych rachunków w kieszeni; są to małe drobnostki, a jednakże cały tysiąc poszedł na nie, i tak: kapelusze podbity wewnątrz miedzianą blachą 150 dol., koszulka druciana 450 dol., buty z cholewami, wewnątrz miedzią wybite i inne tym podobne ubrania jako to pas itd. kosztowały razem 400 dolarów. Trzeba będzie bowiem przystroić się w te wszystkie rzeczy, jak pan będziesz przemawiał do elektorów. Niejeden kamień i to znacznej wielkości rzucony będzie na pana, a to z niepospolitą siłą; druciana koszulka ugnie się troszkę, pewnie jaką kontuzję uczujesz, ale z męstwem, w jakie powinien być uzbrojony każdy kandydat, nie przestaniesz twojej speech (mowy). Ostrzegam pana jeszcze o spuszczeniu dobrze na oczy kapelusza i pochylenie ku ziemi głowy w czasie pańskiej oracji, tak, aby rzucone pociski odbijały się tylko o pańskie nakrycie ale nie o nos lub zęby, bo byś je postradał. A broń jaką pan przywozisz z sobą?

— Mam moje pistolety i dubeltówkę najnowszego systemu — rzekł dośryć powolnie i myśląc o czym innym Don Miguel.

— To nie dosyć.... Major Horgat, który jest moim przyjacielem, pożyczę panu swoich pałaszy, szpad i pistoletów, bo potrzeba będzie odbyć najmniej siedem do ośmiu pojedynków.

— Jak to... i to jeszcze? — zapytał Don Miguel.

Dokończenie na str. 21



Kiedy Solski wychodzi na przechadzkę, witają go przyjaźnie przechodnie i sąsiedzi z ulicy Św. Tomasza.



W uznaniu wielkich zasług dyr. Ludwika Solskiego na polu polskiej sztuki scenicznej, Prezydent R. P.

Bolesław Bierut na uroczystej audyencji w Belwederze udekorował go orderem Polonia Restituta I-ej klasy.

LUDWIK SOLSKI

AKTOR WIECZNIE MŁODY

LEOPOLD MARSCHAK

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

„...Solski był rozkoszny; to jest aktor, który ma wielką przyszłość przed sobą”.

Boy

Z MIESZKANIA Solskich przy ul. Św. Tomasza 26 do teatru im. Słowackiego nie jest daleko: osiem minut drogi idąc szybkim krokiem, a Solski nie lubi chodzić powoli. Na scenie odbywa się próba z Fredrowskiej „Zemsty”. Ludwik Solski wchodzi na widownię, zasiada w fotelu, bacznie obserwuje każde poruszenie, każdy gest aktorów, dzieląc się po cichu — w czasie krótkich przerw — uwagami z dyr. Szletyńskim. Ilu już Papkinów, Cześników i Rejentów musiał widzieć w swoim długim życiu — zna na pamięć niemal każdą z tych ról!

Solski sam grał prawie wszystko, był nawet śpiewakiem operowym i tancerzem, a nigdy nie zdarzyło się, aby „zarwał” przedstawienie. W „Zielonym Baloniku” śpiewano o nim:

„Solski zawsze pełen zalet,
Czy to dramat czy też balet.
Dzisiaj wytnie Jontka w Halce,
Jutro w „Gejszy” tańczy walce!”

Na korytarzu za kulisami starzy pracownicy techniczni i młodzi aktorzy rozstępują się z szacunkiem na widok pana Ludwika, który szybkim krokiem zmierza do swojej garderoby, której całą wielkość ściany zdobią pociemniałe malowidła. Nie lada to byli „malarze pokojowi”, którzy od roku 1893, kiedy to otwarty został teatr im. Słowackiego, pracowali nad jej upiększeniem. Mehoffer, Tetmajer, Janowski, Brandt, Wodzinowski ma-

lowali Solskiego na tej ścianie w jego różnych rolach: jaki pyszny jest ten Chudogęba z „Wieczoru Trzech Króli”! Znajdziemy tu również napisy: „Piszący sztuki Michał Bałucki” lub: „Byłeś „niemy” a mówiłeś tyle, bo twój talent w sercu się mieści”. To — po zobaczeniu Wiarusa — napisała Zapolska.

Solski przywiązany jest do swojej garderoby i do wspomnień, które zdają się wypełniać cały ten pokój.

— W tym kącie przesiadywał Włodek Tetmajer — opowiada Solski, niczem kustosz oprowadzający gości po muzeum własnego życia. — Bałucki wpadał na chwilę z pretensją, jeśli który z aktorów przekreślił jakie słowo w jego sztuce. A Wyspiański — śmieje się Solski — przemałował mi na białe te drzwi. Miały brudno-żółty kolor, który go denerwował. Z Wyspiańskiego to był w ogóle mruk: potrafił siedzieć godzinami w garderobie i nie odzywać się...

O początkach kariery scenicznego Ludwika Solskiego, sięgającej 1875 roku, znaleźć można niejedno wspomnienie w naszej literaturze. Jego ojciec, Franciszek Ksawery Sosnowski (tak bowiem brzmi rodowe nazwisko Solskiego), skromny urzędnik w kancelarii sądowej w Galicji, wspaniałą typ powstańca 1831 roku, sprzeciwiał się „fanaberiom” syna, który studentem jeszcze będąc, za pożyczane z trudem pieniądze biegał na każde niemal przedstawienie do teatru. Aż wreszcie młody Ludwik powziął bohaterską decyzję, która miała zawazyć na losach całego jego życia. W żartobliwej formie opisał ten doniosły fakt m. in. Kornel Makuszyński:

„...było to tak, że stary ojciec Solskiego, człek niesłychanie pocciwy i szanowny, chociaż urzędnik, nie

...wymalowali mi to Brandt, Wodzinowski, Mehoffer i inni, mówi Solski, wskazując na ścianę garderoby.



...a oto berło, ofiarowane hetmanowi sceny przez miasto Kraków — srebrną głowicę wieńczą literę „L. S.”



Przy rozmowach o teatrze pomaga nam p. Solska, która wie na pamięć, co w albumach można znaleźć.

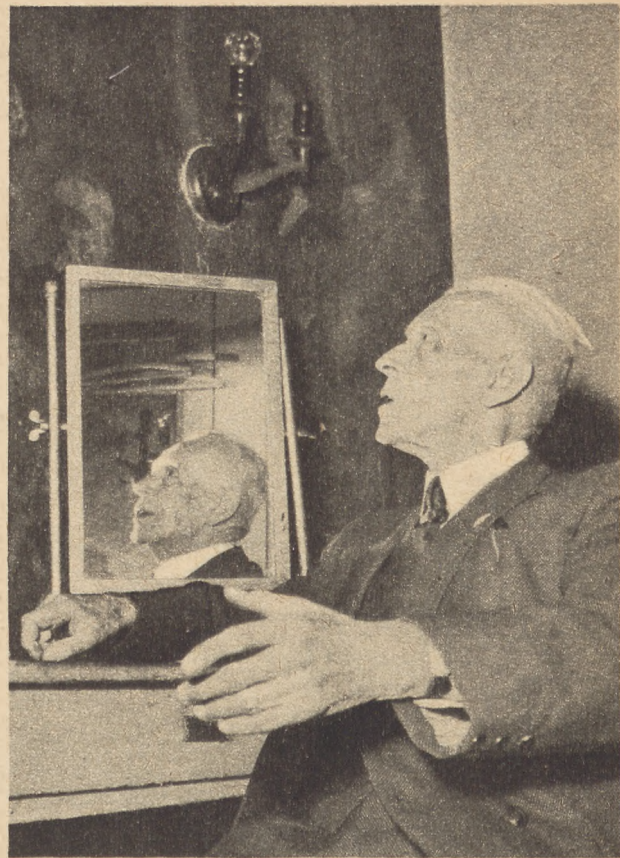




Czy to pamiątkowe zdjęcie grupy aktorów pochodzi z XX czy też z XIX wieku? Zaraz się o tym przekonamy.



...trafił pan akurat na rocznicę naszych zaślubin, mówi Solski, podnosząc do góry kielich węgierskiego wina.



1500 ról kreował Solski w swoim życiu. Ileż to z nich narodziło się przed tym lustrem w jego garderobie!

bawił się w iluzję. Przychodzi do niego Ludwik, całuje w rękę i powiada, że chciałby do teatru.

— A cóż ty, chłystku, będziesz tam robił?

— Hamleta — powiada młodzieniec, chcąc wobec ojca zacząć możliwie jak najskromniej.

— Stołki będziesz ze sceny wynosił. Widzisz go — Hamlet. Pójdiesz mi do urzędu!

— Do teatru — poprawił Solski, więc go dobre ojczyśko coś niecoś sprzą, o czym jednak Solski woli nie wspominać. Grał więc na krakowskiej scenie same olbrzymie role, z których najwspanialsza polegała na przyniesieniu listu na srebrnej tacy, najtragiczniejsza zaś mieszła się w słowach: „Prędeż jaśnie panie, bo już umiera...”

W większej roli wystąpił Solski bodajże w 1893 roku to w towarzystwie Heleny Modrzejewskiej. Grano wtedy na scenie krakowskiej Szekspira „Wiele hałasu o nic”, a Solskiemu powierzono rolę sędziego Dogbery. Po przedstawieniu wielka aktorka powiedziała do ówczesnego dyrektora teatru, Koźmiana: „Macie w swoim zespole młodego aktora, który może grać wszystkie role szekspirowskie, nie wyłączając kobiecych”.

Trzy czwarte wieku minęło od tej pory. Około 1500 ról — oto jaki jest bilans pracy aktorskiej tego fenomeny sceny, który też w dowód uznania, podobnie jak Matejko za arcydzieła malarskie, otrzymał ofiarowane przez miasto Kraków hebanowo-srebrne berło, jako symbol królowania w dziedzinie polskiej sztuki scenicznej. A w biurku Solskiego spoczywają inne dowody tego uznania, wysokie odznaczenia państwowe: Polonia Restituta z gwiazdą, Order Sztandaru Pracy i Złota

Nagroda Państwowa. Tak uczciła talent i wielkie zasługi hetmana sceny narodowej Polska Ludowa.

Kiedy Solski opowiada o teatrze, nie usiedzi spokojnie przy stole. Chodzi szybko po pokoju, wskazując na porozwieszane po ścianach nieliczne już, niestety, obrazy i fotografie.

— Zbiory całego mojego życia — mówi z nutą goryczy w głosie — spalili mi hitlerowcy wraz z mieszkaniem po powstaniu warszawskim. Przepadły w ten sposób listy i fotografie, recenzje i rękopisy, a i sam ledwie z życiem uszedłem.

Jednak i dziś jeszcze mieszkanie Solskiego wygląda jak małe muzeum: wzbogaciły je po wojnie liczne dary, złożone mistrzowi sceny przez górników i robotników.

— Ten maszyn z żelaza — mówi pani Solska, wskazując na stojącą w rogu ozdobną płytę — to dar hutników z Trzyńca. Przyniósł ją chłop jak dąb, uniósł niczem piórko w górę i podaje Ludwikowi: „Weźcie, powiada, towarzyszu ten drobiazg od polskich robociarzy”. Ludwik wziął, ale zaraz upuścił płytę na ziemię. Ten „drobiazg” ważył tylko 20 kg!

Ze ścian patrzeć portrety Solskiego w jego wielkich rolach: „Judasza”, „Fryderyka Wielkiego”, „Hetmana Żółkiewskiego” — dzieło Wyczółkowskiego i piękny tryptyk Weysenhofa — Solski jako „Wiarusa”, „Król Jagiełło” i jako szekspirowski „Chudogęba”. Jakże bajecznie ruchliwą twarz miał ten artysta o tysiącu obliczach!

Patrząc na stojącą na etażerze figurkę starego „Wiarusa” (jedną z najwspanialszych kreacji Solskiego) mistrz z ożywieniem zaczął mówić:

— Z Wiarusem to było tak: przychodzi do mnie pewnego dnia Wyspiański i proponuje, abym zagrał Chłopickiego w jego „Warszawianie”. Jakże, powiadam, mam grać Chłopickiego, kiedy reżyseruję i zajęty jestem przez całą sztukę. Chyba tylko zagram Wiarusa. Wyspiański rzucił się jak opętany: Cóż to, chcesz niemą rolę grać? — A tak — odpowiedziałem. No i zagrałem Wiarusa, a potem z niemałą satysfakcją dowiedziałem się, że tragiczna, zabłocona, zbiedzona postać starego żołnierza wywarła na publiczności najbardziej wstrząsające wrażenie.

Dobre, wytrawne wino węgierskie wypełnia kieliszki.

— Trafił pan akurat na rocznicę naszych zaślubin — mówi Ludwik Solski, podnosząc w górę kielich z toastem na cześć swej małżonki.

Która to będzie rocznica? Bądźmy dyskretni. Nie umiem zresztą określić wieku niezmiernie miłej, siwej pani, która swego męża nazywa Ludwisiem. A on sam? Siedzi przy stole i spogląda na mnie spod siwych brwi, jasnymi, żywymi oczami.

Nie. Solskiego nie można nazwać starym. Ukończył wprawdzie 97 lat, ale nie zatracił swej żywotności. Da on jeszcze niejedną kreację, a będą one niewątpliwie równie wielkie jak te, które powstały zgodnie z maksymą, którą kierował się przez całe życie. Aby nie zatracić jej sprzed oczu, własnoręcznie nakreślił ją kiedyś nad drzwiami swojej garderoby:

Kiedy mi przyszło rolę tworzyć —
by w blasku światła mogła ożyć —
tym ją obkuwał szereg godzin długich —
nim ją oddałem pod sąd drugich.

„Z Wyspiańskiego był mruk”. W opowiadaniach p. Ludwika zmartwychwstają postacie o wielkich nazwiskach.

Bystre oko mistrza obserwuje każdy ruch aktora na scenie. Solski z dyr. Szletyńskim na próbie „Zemsty”.

Dzień ma się ku końcowi. Dyr. Solski wraca do domu. Na pewno i dziś ktoś wstąpi na wieczorną pogawędkę.





„Twarzą do wsi, twarzą
do produkcji rolniczej”

WIOSNA

MARIA JAROCHOWSKA

ZDJĘCIA: Z. MAŁEK

D LACZEGO uciekali od niej? Dlaczego porzucali wszystko, ciepłe izby swoich wielu zim, zagrody, gdzie w dzieciństwie pierwszy raz na konia nauczyli się mówić koń, a na studnię studnia? Dlaczego zostawiali ją, i nie oglądając się za siebie, odchodzili drogami, na których przez tyle lat stopy ich mięsły w wędrownkach czarne błoto?

Nie była przecież najgorsza. Kapryśna i oporna, raz po raz zdumiewająca niespodziankami, nieposłuszna i skąpa, ale obiecująca wiele, niewierna, lecz urodziwa, o wdzięku jaki nieczęsto się spotyka. Za dużo kosztowała ich zabiegów. Może nie mieli już do niej cierpliwości? Opuszczali ją, tę ziemię wcale urodzajną, może nie mlekiem płynącą, ani nie miodem, ale umiejacą czasem wiele worów maki ofiarować, lub szczerze sypnąć jabłkami.

Okolica jest tutaj wyjątkowo uroczna. Wydaje się, że każdej z czerniawych olch wyrasta ze stóp siostra bliźniaczka, a to tylko jej własne w stawie odbicie. Niezliczone strumyki starają się ukryć wśród pól, na próżno. Ich kręty wątek zdradzają pasma ziół szczególnie soczystych po obu stronach rozpadlin. Żaby przedłużają tu swoje koncerty aż do wczesnego lata, dając niby do zrozumienia, że nie były w stanie zdążyć w przepisanym, majowym terminie. Skrzeczą po nocach namiętnie, chórem tak donośnym, jakby skacząc w pośpiechu zbiegły się tu na występy ze wszystkich stron Polski. Wierzby, jedne brzuchate, inne garbate, powyginane jakby zdrewniały w przysiadach kujawiaka, aż do zimy nie mogą się rozstać ze swą zielenią. — O wierzbo, wierzbo gdzieś ty wyrosta, że liście twoje woda poniosła... — śpiewają ze smutkiem dziewczęta.

Woda poniosła w Juliszewie nie tylko lśniące łódeczki wierzbowych liści. Woda zmusiła ludzi do ucieczki. Bo jak długo pogoda sprzyja, jak długo słońce od wschodu na zachód płynie, nie potykając się o chmury, sucho jest na polach julszewskich, sucho, że po rowach można by siał. Ale ledwo strugi deszczu zamkną widnokrąg, ledwo z lasu zakurzy się na zapowiedź

słoty, ziemia czarna i sapowata w mig nasiąka wodą niczym płyty bibuły.

O kilka kilometrów płynie stąd Wisła. Gołym okiem nie zobaczysz jej zielonych wirów, woni piachu nie poczujesz, ani żaloszny pisk rybitwy do twych uszu nie dotrze. Lecz wystarczy, żeby przybyło wody w rzece — niewiele, kilkanaście centymetrów — chłopci z Juliszewa zaraz się o tym dowiedzą, poznają po swej ziemi. Pojedźcie wilgocią, od spodu, zdradziecko, gnić zaczną te uprawy, którym nadmiar wody szkodzi i tylko kwaśne trawy na łąkach jeszcze bujniej ruszą ku górze, świeższe, jakby poweselały.

— Gorzkać moja pani młoda — piasek i woda.

Gorzkie moje starostowie — w wodzie rakowie.

Gorzkać moja starościna — na wodzie trzcina.

Gorzkież moje muzykanty — zielone dęby.

Nawet weselne pieśni z tych stron opowiadały o goryczy, skarżyły się na zły piasek i wodę niełaskawą.

Niektórym dokuczyła ta podstępna wilgoć niemożliwie. Usłyszeli o innej ziemi, nie za morzem, nie za górą, w bajce, ale blisko, w tym samym powiecie. Usłyszeli o złotej ziemi, co żyta nie rodzi, lecz samą pszenicę, sam jęczmień. Opuścili własne obejścia i ruszyli do Życka, do Świnia, do Wionczelmina, poprawić swój los. Każdy z osobna nie dałby rady. Związali się w spółdzielnię i rzeczywiście naprawiony los kieruje dziś ich życie ku dobrobytowi.

W Juliszewie została ziemia porzuciona. Lecz znaleźli się tacy co jej pozostał.

— Jakże tak może być? Poszli tamci szukać sobie lepszego chleba, a pola mają leżeć odłogiem? Właśnie, że tutaj musi lepszy chleb wyrósć! Od dawna próbowali każdy według własnego rozumu takie ziarno w ziemię rzucić, takie nasienie, ażeby woda nie rozmyła go, ale pomogła wykiełkować. Jeden wymyślił plantować ogórki. Jeździł do Gostynina radzić się ogrodników, szukał wskazówek po gazetach rolniczych, od kierownika szkoły pożyczyl sobie podręcznik. Aż zebrał 240 kwintali z pół hektara.

Drugi pielęgnował cebulę. Dbał o nią jakby była posrebrzana, chwastów nie dopuścił, spulchniał glebę pod każdym liściem, nielewdnie kapotał przed wiatrem zasłaniał. Aż dała mu z 6 arów 74 tysiące złotych (w starej walucie).

Jakiej się który praktyki rolniczej na małym skrawku nauczył, postanowił ją teraz ofiarować ziemi opuszczonej. Założyli zrzeszenie wspólnej uprawy, spółdzielnię produkcyjną pierwszego typu. Bardzo potrzebowali gotówki. Dały ją wierzby. Wiele z nich dotychczas umacniało miedze. Odgradzały jedną działkę od drugiej, „wchodziły w pole”, jak się tutaj mówi.

Ludzie zrabali zapory. Pnie, które stały na przeszkodzie wykarczowali i sprzedali, aby innym ogrzały mieszkania. Za zarobione pieniądze kupili nasiona. Nauczycielem był ten, który dochował się na grządce koło domu ogórków, pękających jak niegdyś arbuzy pod szkiełkiem w dworskich inspektach. Pracowali wszyscy razem od pory kiedy słońce wytacza się na niebo do jego ucieczki za horyzont. Nie było sporów przy obliczaniu dniówek, wszyscy sprawiedliwie przykładali się do roboty. Zanim zbrali pierwszy plon, łąki poratowały ich w przednówkowym nie-

dostatku. Wcześniej skoszone siano, suszone składnie, po nowemu w tych stonach, na stojakach, było soczyste i wonne. Dało pokazy dochód.

Z młodożytych, nikłych kwiatuśków wyrosły między liśćmi grube kłykiec ogórków. Najmudniej naharowali się przy zbiorach. Dojrzały stopniowo, nie mieli ich gdzie przechowywać. A przecież delikatny miąższ zerwanego ogórka gnieje zanim się oglądniesz. Każdego dnia brodząc po polu rzucali do worków ciemnozielone wałki. Każdego dnia któryś z nich, wszyscy po kolei, odwoził zbiór do Płocka furmanką. Z ciężkim ładunkiem poganiał konie, poprzez piachy, bite 35 km w jedną stronę i znowu 35 km z powrotem.

Ludzie w mieście, gdy smakuja konserwowego ogórka, gospodynie, gdy przyprawiają mizerię śmietaną, nie przypuszczają nawet, ile trudu włożył w to rolnik, aby mieli jarzyny świeże, jędrne, smaczne.

W tym roku spółdzielcy z Juliszewa kupią już beczki, będą swoje ogórki kisić i potem dopiero sprzedawać. Żaden się nie zmarnuje. W tym roku spółdzielcy posadzą na swych polach cebulę. Pokieruje jej uprawą ów, który dochował się na grządkach koło swego domu cebuli ładniejszej od posyłanej niegdyś z dworskiego ogrodu na wystawę rolniczą. W tym roku wierzbom przybędą sąsiadki, posadzone przez członków zrzeszenia — młodziutki drzewa śliwkowe. W tym roku mięta, dziko dotychczas przycupła po rowach i beczki, przeniesie się na spółdzielcze grzędy. Uprawiana starannie powędruje potem do aptek w miastach. W tym roku łąki grząskie i bardziej przez bociany ulubione i przez czaple brodzące z powagą, niż przez bydło, zmelirowane, zamienią się we wzorowe pastwiska. Spółdzielcy wypędzą na nie piętnaście krów zakupionych za zarobione razem pieniądze.

Wiosna tego roku pierwszy raz w Juliszewie nie trapi ludzi jutrzejszą goryczą, nie wzbudza w nich niepokoju. Przyszłość jesiennych zbiorów przestała być niewyraźna, niby woda w strumieniu zmacona patykami.

35 złotych i 25 groszy wyniosła dniówka obrachunkowa we wspólnym zrzeszeniu uprawy ziemi. Te 35 złotych i 25 groszy to nie tylko zabezpieczenie całorocznego dostatku, to nie tylko jedna z najlepszych dniówek polskich spół-



Wydaje się, że każdej z tych czerniawych olch wyrasta u stóp siostra bliźniaczka, a to jest tylko jej własne odbicie w stojącej wodzie stawu.

dzielni produkcyjnych. Ten zaszczytny dochód jest równocześnie zwycięstwem nad piaskiem i wodą, jest zwycięstwem nad trzciną i wierzbami. Jest pięknym sukcesem wiedzy rolniczej i umiejętności gospodarowania. Ziemia, którą porzucili jedni, drudzy obłaskawili cierpliwymi dłońmi i wysiłkiem chłopskiego rozumu.

— Moje dzieci nie będą mieć mi za złe, że nie odkładam dla nich pieniędzy — mówi Stanisław Nowicki — przewodniczący spółdzielni. Rytmicznie porusza nogami kołyski i śmieje się; wie, że jego syn, syn spółdzielcy, zapewnione ma wszystko: szkołę, swobodny wybór zawodu, całą przyszłość...

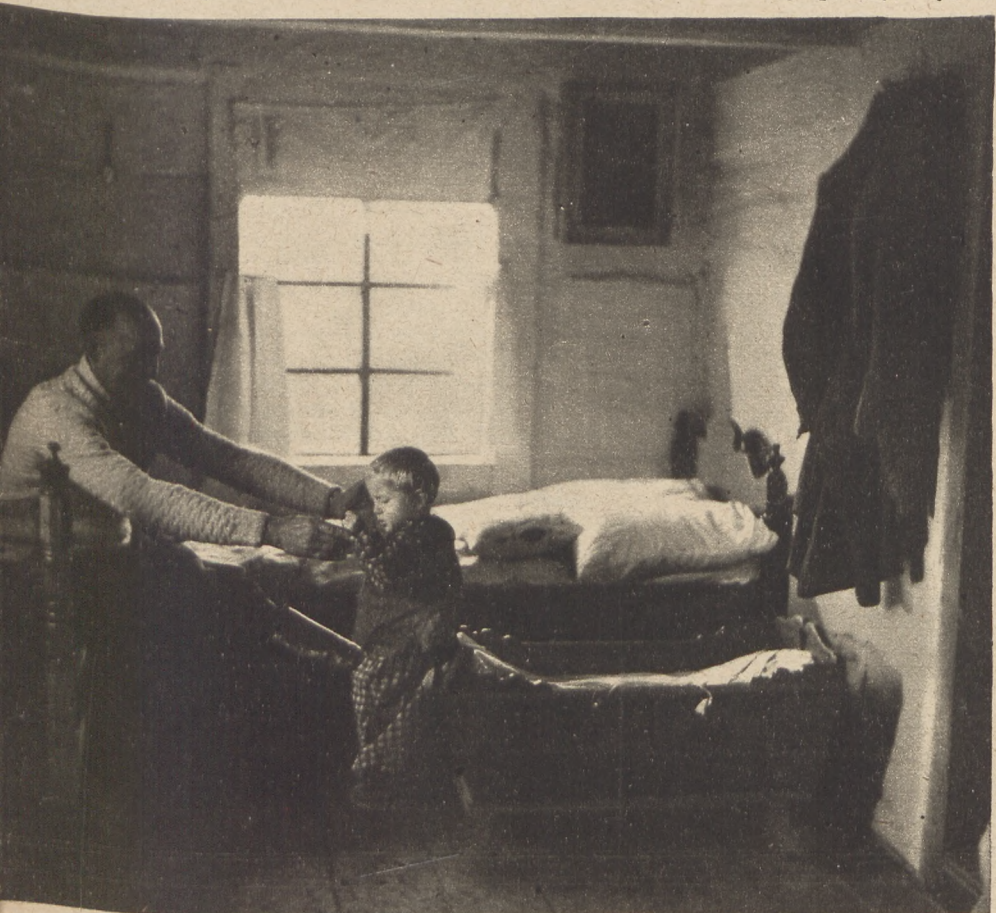
— Będzie się czuł tak jak ja. Bo ja się

czuję doskonale w naszym wspólnym gospodarstwie. Nie mam już nad sobą ani dziedzica, ani nie grozi mi nędza.

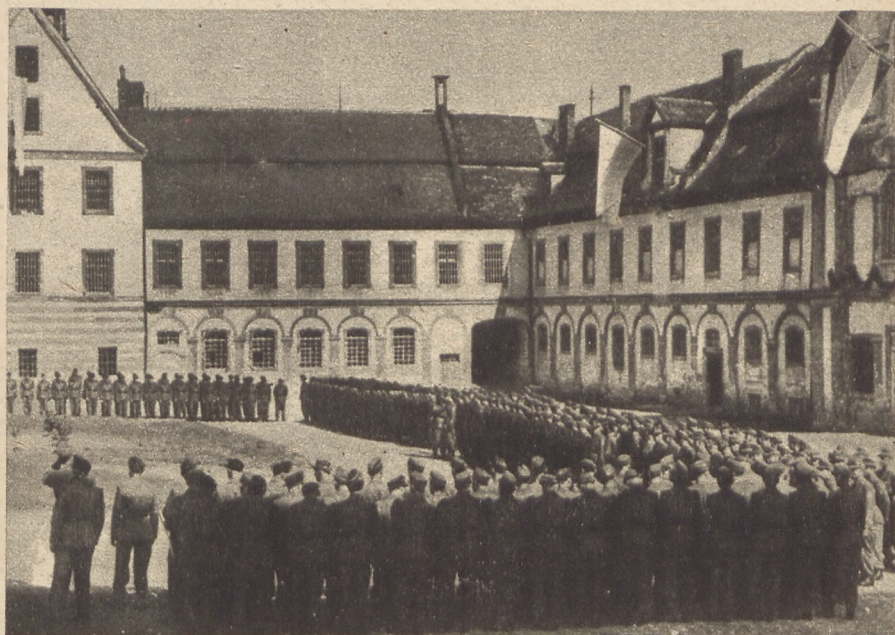
Rodzice Nowickiego i rodzice jego żony nie mieli możliwości przygotować im życia. Stanisław został parobkiem u kuliaka, Stanisława służącą u Niemki, bogaczki. Dziewczyna miała 14 lat, kiedy zarabiała w dzieży ciasto na chleb jak dorosła kobieta i kierowała końmi w polu, jak dorosły mężczyzna.

Kiedy Stanisław zenił się ze Stanisławą, sądzili, że to tylko jedna bieda łączy się z drugą nędzą na wspólny niedostatek. Od tego czasu przeżyli wiele wiosen. Ale ta dopiero jest wiosną prawdziwą.

Synowi Stanisława wystarcza na razie samo mleko, ale rosnąc mieć będzie wszystko — zapewnia mu to spółdzielnia, w której pracuje ojciec.



Pośrednictwo pracy w Berlinie zach. działa



„Zgłosić się dnia... o godz. 9 rano do Brytyjskich Władz Wojskowych, Berlin Spandau, Wilhelmstrasse 29, Koszary im. Smutsa, Blok im. Kitchenera“.

Tekst ten, zaopatrzony w pieczęć — Biuro Pośrednictwa Pracy V, Berlin Zachodni, Tempelhofer Ufer, Sektor Amerykański — wypełniał kartę pracy, jaką Horst Peters (Muskauerstrasse 36, Sektor Amerykański) z bijącym sercem odbierał z rąk urzędnika Biura Pośrednictwa Pracy. Po 18 miesiącach codziennej wędrówki pod okienka biura, nareszcie dostał pracę!

Młody Peters szybkim krokiem udał się do wskazanych koszar. Stała już tam gromadka młodych mężczyzn — około 40 — w których Peters z łatwością poznał „znajomych“ z Biura Pośrednictwa Pracy.

Nie zdążył jeszcze Peters zasięgnąć języka, gdy Niemiec w zielonkawym mundurze ustawił zebranych w szereg, rzucił krótką uwagę: „Już my z was zrobimy

ludzi!“ i wyprowadził ich do innego skrzydła koszar.

Czy był ktoś z was w SA lub SS? — donośnym głosem zapytał umundurowany Niemiec.

Dwaj Niemcy, którzy w odpowiedzi podnieśli ręce, natychmiast zostali wprowadzeni do budynku, a już w kwaterach potem powrócili, z dumą oświadczając, że przyjęto ich do służby.

Peters znalazł się wkrótce przed komisją, złożoną z dwóch cywiliów-Anglików i czterech Niemców w zielonych mundurach.

Padły szybkie pytania: — Czy byliście w Hitler-Jugend?

— W jakiej formacji służyliście?

— Ile lat służyliście w waszej macie z sobą?

— Czy umiecie się obchodzić z bronią?

Po chwili Peters został wepchnięty do drugiej izby, gdzie kazano mu się rozebrać i poddano krótkiemu badaniu lekarskiemu.

Jakiś Niemiec w zielonym mundurze powiedział:

— Dostaniecie dobre racje żywnościowe i mundur. Będziecie mieszkali tutaj w koszarach. Termin służby — jeden rok.

Teraz dopiero Peters zorientował się, do czego chcą go wciągnąć.

— To nie dla mnie — powiedział. — Nie chcę znów być żołnierzem!

Sierżant oburzył się: — Nie bądź głupi! Do stałeś tu skierowanie z Biura Pośrednictwa Pracy i jeżeli nie przyjmiesz zaofiarowanej ci pracy, stracisz zasiłek dla bezrobotnych!

Dla wielu młodych mężczyzn, którzy tu przychodzili, groźba ta była całkowicie przekonująca. Ale Peters nie zaważał się ani przez chwilę.

Kiedy opuszczał koszary, ujrzał na placu przed nimi kilkudziesięciu młodych ludzi w zielonych mundurach, którzy odbywali ćwiczenia z karabinami.

Tak działa „Pośrednictwo Pracy“ w brytyjskim sektorze Berlina.

C. G. BIDWELL

Sie werden gebeten, sich am 5.2.52 9⁰⁰

an-Firma bei der

Britischen

Ausbildungsbehörde

Berlin-Spandau

Wilhelmstr. 29

(Sitz des Hauptamtes, Kabinett, Smuts-Block)

Zu melden.

(Stempel der bearbeitenden Dienststelle)

Facharbeitsamt V/Berlin
Textil, Bekleidng., Leder
Nahrungs- und Genussmittel, Gaststätten
Körper- und Schönheitspflege, Chemie
Bergbau, Pflanzen- u. Tierwirtschaft
Berlin SW 61, Tempelhofer Ufer 5
Telefon 61 03 01 App. 2073

Arb. 100a
Mas. 9362. Dtn A 4. 60406. 11. 51

Werbunek do oddziałów policji, które stanowią kadre nowego Wehrmachtu w Niemczech zachodnich.

PRZEŁOŻYŁA JOANNA GUZE

— Wie-em! No, to idziemy?! Dobra! A ty jak, przyjacielu? Idziesz z nami? — zwrócił się do mnie Stiepok.

— Właśnie tam idę.

— Tam? Doskonale! Więc we trójkę. Dobra! Zrobimy worek pieniędzy. A poza tym mam tam jedną taką, co świętuje w soboty, czarnooka...

— Sekciarka? — zapytałem.

— Właśnie! Starowierka... wyszła za mąż, a wciąż po staremu mnie kocha...

— A myślałem, że naprawdę... — powiedziałem.

— Na krzyż mogę przysiąc, prawda! — zaklinał się Stiepok. — Zawsze mnie w soboty do siebie na noc bierze... — Roześmiał się.

Masłow wciąż patrzył na morze, oparty łokciami o parapet. Włosy miał długie, do ramion, i te włosy i bluza upodabniały go do artysty.

Po godzinie znajdowaliśmy się na drodze prowadzącej do Jałty, postanowiwszy dojść do Karcza brzegiem.

Kiedy zaszło słońce zatrzymaliśmy się na nocleg; wybraliśmy znakomitą pieczarę w górze, ukrytą za naturalną zasłoną z zielonych krzewów rosnących przed wejściem, tak jakby życzliwa przyroda Krymu przeznaczyła umyślnie ową pieczarę na noclegi dla włóczęgów. Wnosząc z rozścielonych liści i resztek ogniska, nie byliśmy tu pierwszymi gośćmi.

Stiepok napełnił po drodze kieszenie jabłkami i nawet, opuściwszy nas na pół godziny, zdobył w tajemniczy sposób wielki bochen pszennego chleba. Teraz wyciągnął się pod krzakami i wesoło zjadał jabłka strojąc miny jak małpa; co bardzo harmonizowało z jego chropawą, o nieregularnych rysach twarzą, porośniętą gęstą szczecina. Masłow w milczeniu zbierał gałęzie. Ja odkryłem opodał strumień i myłem się lodowatą wodą.

Wokół nas drzewa rzuciły wzorzysty cień...

— Co, ognisko chcesz rozpałić? — zapytał Stiepok towarzysza.

— Tak...

— Ciepło przecie...

— W nocy będzie zimno.

— No, jak chcesz...

Masłow zniknął i zjawiał się znowu z ogromnymi wiązkami drobnego chrustu. Zapłonęło ognisko. Wilgotny mrok, napełniający nasze pomieszczenie, drgnął; gęste cienie zaczęły pełzać po kamieniach to w górę, to w dół.

Masłow milczał i uśmiechał się patrząc na ognisko.

— Teraz jesteśmy jak rozbójnicy! — powiedział nieoczekiwanie.

Spojrzałem nań i zdumiałem się. Znacznie bardziej był podobny do zamyślonego dziecka niż do robotnika. Jego czarne oczy nie były już ponure, świeciła w nich tylko łagodna dobroduszość i jakiś smutek. Zmarszczki uśmiechu zaokrąglały jego owalną twarz i wygładziły nieprzyjemną, nadętą minę przedtem szpecącą tę twarz jeszcze dość świeżą i urodziwą, mimo sińców pod oczami i czerwonych żyłek występujących poprzez równomierną opaleniznę policzków.

— Dzieciatko! Wciąż zabawki... — uśmiechnął się Stiepok. — Patrz, Maksym — zwrócił się do mnie — jaka to dusza może być w człowieku! — Połowa jak śnieg, a połowa — jak sadza. Dlaczego? A znowu dlatego, że życie rozmaicie dycha: z jednej strony ciepłem, z drugiej chłodem. I z tego wszystkiego człowiek sam w sobie jest jak dziecko, a przy ludziach diabeł...

— Stul pysk! — z niezadowolaniem rzekł Masłow i odwrócił się od ogniska.

Przez krzewy zastaniające wejście widać było wąski pas biegnący obok kamienistej drogi; za drogą góra urywała się stromo, zza urwiska spoglądały wierzchołki drzew już oświetlone księżycem, a daleko za nimi, na horyzoncie, leżało nieruchome morze, błyszczące jak szkło...

Słowa Stiepka budziły dźwięczne echo... Nic więcej nie było słychać.

— Czy powiedziałem coś obraźliwego? Nic. Ot, Maksym mówi, że człowiek powinien strzec swojej duszy... to znaczy uczyć się... czy jak tam? A ja powiadam, że człowiek nic tu nie ma do gadania. Jest jak piórko — dokąd wiatr zaniesie, tam będzie. I co z tego wychodzi? Wychodzi — gwizd na wszystko! Żyć sobie wesołutko, o niczym nie myśl. O czym tu rozmyślać? Żebyś nie wiem jak żył

wszystko jedno zdechniesz. I zdechniesz też nie wiadomo kiedy, może zaraz, a może jutro. Władze ci o tym nie doniosą. Było tak raz ze mną, kiedy jeszcze pracowałem w Moskwie...

— Mówiłeś już o tym. Niejeden raz... Milczałbyś teraz... Słyszysz jak cicho... Nawet liść nie drgnie...

— Masłow zaczął gniewnie a skończył zamyślony i ze smutkiem.

— Liść — dobrze. A ja chcę o sobie powiedzieć — nie przestawał Stiepok ożywiając się coraz bardziej, gdy jego towarzysz coraz bardziej zamyślał się i posępniał. — Chcę powiedzieć, że co niby ja? Żyję i tak dalej... Misza! Zaśpiewajmy. Nadwożańską, co? Nie mogę patrzeć na ciebie jak jesteś taki. My, moskiewscy, mamy usposobienie wesołe i chcielibyśmy, żeby inni także byli weseli! Właśnie! I nie śpiewaliśmy dawno... Zaśpiewajmy. Rozruszałbyś się...

Stiepok nagle zmienił swój wesoły i zadzierzysty ton na proszący i żalony.



— Cóż, można zaśpiewać... Nie zaszkodzi — przystał Masłow i przysunawszy się do towarzysza powiedział: — No, zaczynaj!

— Ulubiona? — znowu poruszył się Stiepok. Masłow skinął głową. Siedzieli naprzeciw siebie z drugiej strony ogniska, ich twarze pojawiały się nagle w jego świetle, to znowu ginęły w kłębach dymu. Stiepok ukląkł, dotknął ręką szyi, odrzucił lekko głowę do tyłu i przyłożył palec do gardła.

„Ech, rozpędź...”

— zaczął tenorkiem Stiepok, błysnąwszy do mnie oczami. Często naciskał palcem gardło i długie nuty drżały na skutek tego drobnym tryłem.

„Rozpędź, wietrze, chmury groźne...”

— poprosił Masłow recitativem i dziwnie kiwnął głową, jakby nie miał nadziei, że wiatr spełni jego prośbę.

„Rozwiej...”

Stiepok machnął ręką i wodząc nią płynnym ruchem w powietrzu, śpiewał dalej. Głos jego rósł, rozkazywał:

„Rozwiej smutek mój — tęsknotę...”

— wyciągał Masłow recitativ i stopniowo słowa pieśni rodziły tę smętną rosyjską melodię, przerywaną krótkimi okrzykami, która daje słuchaczom złudzenie, że ktoś ginie, że to dolatują jego beznaślężne skargi, jęki i ostatnie wybuchy gasnącej energii. Masłow śpiewał barytonem, bardzo niskim i giętkim; niekiedy w głosie dźwięczał jakiś ton pęknięty i ochrypły, ale to nie psuło pieśni, dodawało jej tylko więcej tklivosti i tego prostego piękna, które jest pięknem prawdziwym.

„Żeby słońeczko jasno świeciło...”

coraz wyżej śpiewał Stiepok mrużąc oczy, czerwony z wysiłku.

„Żeby mnie, mójcowi się żyło...”

prosił i skarżył się Masłow, także podnosząc głos. „Ech, beztrzesko, swobodnie, wesoło.”

Sztucznie wibrujący głos Stiepka urwał się, ale baryton Masłowa wyciągał jeszcze mocno i pięknie:

„Ech swobodnie, wesoło...”

Stiepok wstał, machnął ręką i zaciągnął, mrużąc oczy:

„Ech, chodzą po niebie...”

„Chmury groźne...”

tęsknie podchwycił Masłow.

„A tęsknota zżarła mi serce...”

— E-e-ech! głośno westchnął Stiepok, nie podnosząc powiek.

Masłow miał oczy otwarte, był blady. Siedział wyciągnawszy nogi, z ciałem podanym do tyłu, rękami wsparty o ziemię. Wysunięta naprzód pierś wysoko podnosiła się i opadała, z otwartych ust lały się falą słowa pieśni, tęskne, rozsłuchane... i coraz bardziej dźwięczne.

Patrzyłem na niego nie odrywając oczu i doznawałem tego dziwnego i silnego uczucia, które tak trafnie oddają słowa: „chwytają za serce”.

Głosy towarzyszy zlewały się, to znowu dźwięczały każdy oddzielnie, podkreślając i dopełniając się nawzajem.

Masłow siedział bez ruchu. Stiepok stał i kołysał się z boku na bok. Jego chropawa fizjonomia jaśniała szczęściem; piękna zaś twarz Masłowa drgała nerwowo i, zdawało się, biała coraz bardziej, jak gdyby z piersi śpiwaka wraz z głosem płynęła krew. Jego smutne, czarne oczy patrzyły prosto na mnie, ale czułem, że nie widzi nic — ani mnie, ani góry, o którą się opierał... Znać było, że pierś tego człowieka pełna jest po brzegi przygniatającego ostrego bólu i że pieśń jest jedynym lekarstwem, które ten ból łagodzi. Śpiewał o swoim smutku i jakby wyśpiewywał całego siebie... Czasem drżenie przebiegało po jego twarzy, myślałem, że lada chwila się rozplacze... Wtedy pragnąłem uciec od tego człowieka, tak silnego, pięknego i umęczonego do łez...

Pieśń lkała to ciszej, to głośniej... i z każdą nową nutą stawała się bardziej podobna do zawodzenia przy umarłym. Masłow zaś, pochylał się w tył, coraz mocniej wypinał pierś, jakby chcąc dać ujście dźwiękom, które ją przepełniały. Stiepok wyciągał zdumiewające fioritury i tryle, stukając sobie palcem po gardle i nie otwierając oczu kiwał głową na prawo i lewo, wzruszał ramionami, machał ręką w powietrzu... żył cały w pieśni.

— Mon Dieu. Comme c'est beau. Quelle poesie!... Feu aux montagnes et la chanson. Jak gnomy. Je veux les voir... — zapiszczał dźwięczny kobiecy głos.

— Hej! Kto to śpiewa? Chodźcie tutaj — krzyknął władczy bas.

Pieśń urwała się. Masłow szeroko otworzył usta i tępym wzrokiem spojrzał na drogę... Stiepok drgnął, wyszczerzył zęby i ze złością zmrużył oczy.

Poprzez gałęzie widzieliśmy dwa konie; na jednym z nich siedziała szczupłutka dama w białym woalu, z drugiego zeskoczył mężczyzna w jasnym ubraniu. Rzucił lejce na łęk siodła i zwrócił się do pani.

— Po-czekaj. — szepnął Stiepok i nagle ile sił w nogach wypadł na drogę tratując z hałasem krzaki i dziko wyjąc:

— Idzie-emy... Jaśnie panie!!

— Ach — zapiszczała dama.

— Co za diabeł!... Stój!

Ale oba wystraszone konie rzuciły się w bok i pomknęły... Z daleka dolatywał tętent i pisk damy.

— Ośle. Łap... — krzyknął pan zamierzając się na Stiepka szpicrutą.

— Żeby tylko nie zleciały z góry — uchylając się od uderzenia rzekł Stiepok i zaczął nasłuchiwać.

Pan rzucił się, wysoko podnosząc nogi, w stronę skąd dobiegały odgłosy. Stiepok roześmiał się i usiadł na drodze.

— Ależ leci... Oho-ho-ho... niech go diabli.

Masłow milczał ponuro i obojętnie. Tętent koni i tupot nóg biegnącego pana zginął w oddali...

— Alem ich zrecznie!... Co, Misza? — I Stiepok prychnął. — Patrz co znalazłem, widzisz? — Pokazał towarzyszowi ładniutką szpicrutę i chustkę do nosa obszytą koronką.

Tamten spojrzał w milczeniu.

— Pogubiła pani!... Nie, ale jak on leciał! Ach, byk diabelski! A za te kawałki dostaniemy pół rubla.

— Rzuć to! Niech ich... — rzekł Masłow i machnął ręką.

— Rzucić? Dlaczego? Słuchali pieśni? — Jesteśmy kwita. A może byłoby lepiej, gdybym ich nie nastraszył i poprosił, żeby dali na piwo? Zaraz. Nie wpadłem na to!

— Zostaw, Stiepok, wstydziliś się!!! — krzyknął rozdrażniony Masłow.

— Czego mam się wstydzić? Prosić na piwo? Przecie słuchali!

— Milcz! — I Masłow zaklął szpetnie. — A jak nie, to ci... — podsunął mu pięść pod nos i spojrzał na niego dzikimi oczami, które od razu nabiegły krwią.

— Zaczęło się. — Stiepok gwizdnął sceptycznie. — Cóż to za wielkopańskie hece! Skąd ci się to wzięło! Alboś się sam tym nie zajmował? Pamiętasz, w Odessie, u Francuza... i w ogóle... Śmiechu warte.

— Stieпка. Przestań, milcz! Bo — walnę... — cicho i z naciskiem rzekł Masłow.

Stiepok położył się na ziemi.

— A tybys lepiej nie obrażał towarzysza... — powiedział jakby się usprawiedliwiając.

Pieśń znikła jak sen. I znikł nastrój, który zrodziła... Ognisko ledwie się tliło. Masłow łamał gałązki i w zamyśleniu rzucał je do ognia. Wkrótce Stiepok zachrapał... Patrzyłem poprzez gałęzie na morze i przez dym ogniska w twarz Masłowa. Morze było ciche i puste... Masłow zamyślony. Cienią od ogniska przebiegały po jego brodzie, policzkach i czole...

— No, czego wytrzeszczasz na mnie oczy? — powiedział do mnie oschle.

Widać chciał zostać sam ze sobą. Odwróciłem się i położyłem. Nocą słyszałem przez sen cichą pieśń i kiedy otwierałem oczy, widziałem Masłowa. Wciąż tak samo siedział przy ognisku, kiwał głową i patrząc w ogień... śpiewał półgłosem.

Kiedy obudziłem się nad ranem, przyjaciół już nie było. Odeszli nie budząc mnie i wzięli z mojej torby dwie moje koszule, szlachetnie pozostawiając mi trzecią. Przyszedłem do wniosku, że zmienili projekt, nie idą na Kubań i zrobiło mi się żal.

* * *

Zgodziłem się w jednej z kubańskich stanic do młocki i pojechałem w step wozem wraz z grupą dzielnych młodych Kozaczek i moim towarzyszem podróży, Gruzinem. Dziewczeta śpiewały i paplały. Stanica zniknęła w dali, wokół nas rozpostarł się szeroki step...

— Stoi przy bębnie kacap...Taki czort, że no! Oczyska czarne, brodaty, a jaki zły! Niech tylko podający spóznia się ze snopem, jak wrzaśnie... Robota mu się w rękach pali... Ryczy — trąba prawdziwa! I popędza, popędza!... Mechanik gniewa się: „Maszynę, powiada, zepsujecie“. A Totienko swoje: „A ty, powiada, chciałbyś dostawać za wynajm i żeby maszyna stała!“ Kacap zaś ryczy: „Szybciej, podawaj!“ I jak ci zaklnie, aż przysiądziesz — opowiadała dziewczyna, która już była w stepie.

— Wszyscy kacapi klną zdrowo... — zauważyła basem dziewczucha z grubym warkoczem, o tłustych czerwonych policzkach; od chwili wyjazdu nie przestawała gryźć jabłek, których dobrą miarke miała w podółku.

— A jacy brzydci! Zdechłe to, do niczego! — oświadczyła z pogardliwym współczuciem czarna, zreczna i szczupła żmijka.

— Nie wszyscy! — krótko rzekła trzecia, szatynka o owalnej i stanowczej twarzy.

Koleżanki zachichotały, spoglądając na nią.

— Patrzcie, broni swojego!

W oddali ukazał się dymek.

— O młockarnia sapie — rzekła szatynka.

— Cieszysz się, że już blisko? — zapytano.

— Cieszę... Każda by się cieszyła...

— Wielkie rzeczy! — sceptycznie zawołała jedna z dziewcząt.

— Nasi ze stancy lepsi...

— Co kto lubi. Czego wiele, to się znudzi... — upierała się przy swoim szatynka.

Na przedzie wyrosły złote wzgórze snopów, a za nimi czarny komin młockarni... Mali ludzie kręcili się wokół niej, słysząc było hałas, śmiech i charakterystyczny, szybki i chciwy stukot maszyny... Chmura kurzu i plew pomieszana z dymem z komina, nieruchomo stała w powietrzu niby czarna czapka, nakrywając pełną życia oazę wśród żółtawej, rozciągającej się wokół pustyni.

Dziewczyny wysypały się z wozu jeszcze zanim dojechaliśmy na miejsce i pobiegły do wzgórków ze słomy, ustawionych szeregiem i błyszczących oślepiająco w słońcu.

— Obiad! — krzyknął ktoś.

Rozmawiamy o muzyce

„PORWANIE FRYCKA“

JERZY WALDORFF

KIEDY pani Chopinowa, w jakichś tam swoich gospodarskich sprawach szła na Solec zabierając ze sobą synka — mąż upominał ją:

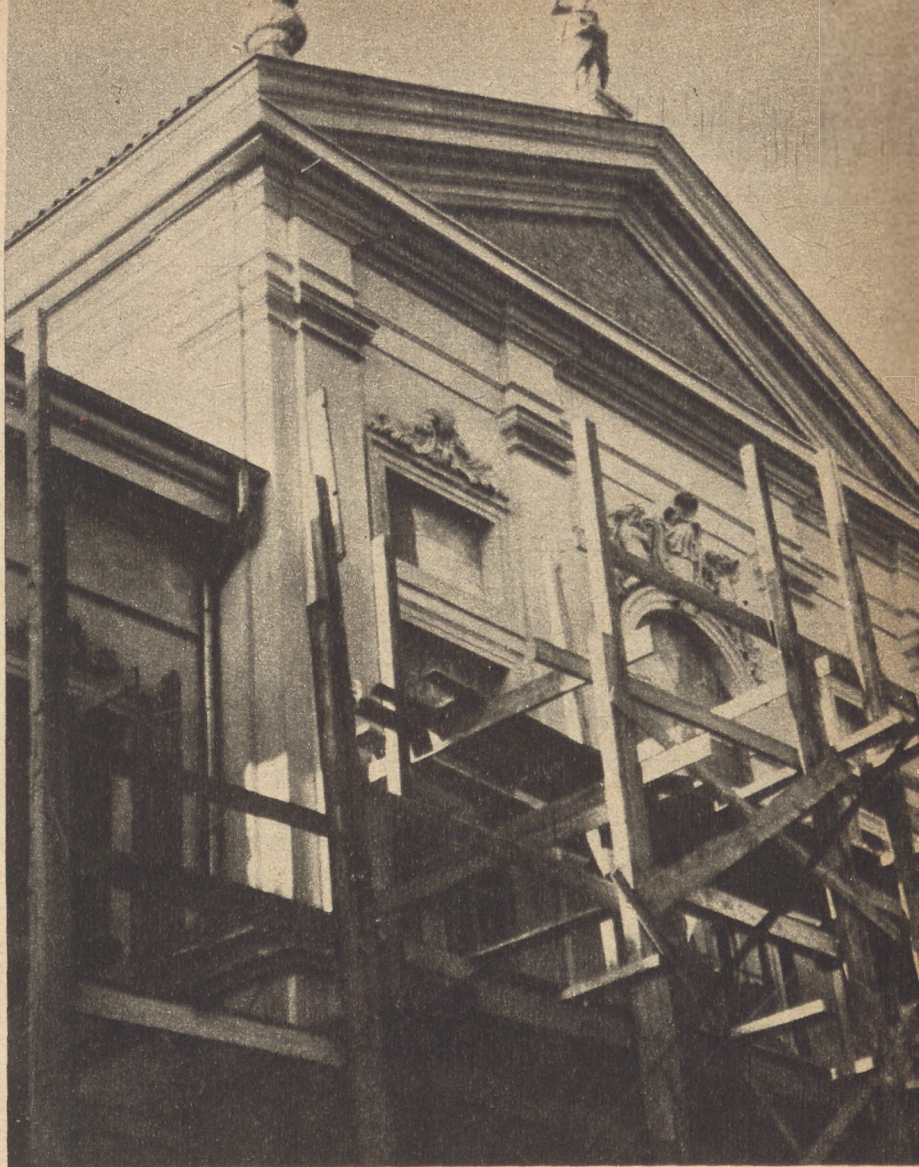
— Tylko uważaj, jak będziesz wracała Tamką, żeby Frycka nie porwali do Ostrogskich!

Miejsce było w istocie niebezpieczne. Pod zamkiem Ostrogskich, w głębokich lochach gnieździły się męty warszawskie — uciekający przed prawem bandyci i złodzieje. Mogli tam ukrywać się spokojnie, gdyż policja bała się zapuszczać w labirynt piwnic i podziemnych korytarzy, prowadzących w lewo aż na Stare Miasto i w prawo — do Książęcej. Trzeba było około roku 1820 sprowadzać oddziały wojska i robić wielką obławę, zanim dopiero udało się rzezimieszków przepędzić i zasypać tajemne przejścia.

A przecież zamek Ostrogskich był ongiś jedną z pierwszych ozdób Warszawy!... — Budowę jego dolnej, warownej części rozpoczął pod koniec XVI w. Janusz Ostrogski, kasztelan krakowski. Chciał przydać obronności stolicy, a także dookolnym gruntom swojej rodowej ordynacji (stąd późniejsza nazwa ulicy Ordynackiej). Budowę zamku Ostrogski jednak nie dokończył. Zostawił tylko potężny bastion z kamienia i cegły, zawierający wspomniane już lochy. Dopiero w sto lat później, za czasów Sobieskiego, rodzina Gnińskich wzniosła na bastionie owym najpiękniejszy z pałaców barokowych miasta. Aliści nie było jakoś pisane przebywać długo w jednych rękach tej wspaniałej rezydencji. Miel ją potem kolejno Zamoyscy, Czapscy, Mielżyńscy, Chodkiewiczowie. Wreszcie pałac dostał się filozofowi Nikucie, który założył w nim internat dla uczącej się młodzieży.

Od śmierci Nikuty datuje się upadek zamku Ostrogskich. W roku 1820 nabywa go niejaki Gajewski, sekretarz policji, i przebudowuje na... koszarę oraz jatki rzeźnicze. Potem jeszcze raz biedne, zupełnie już podupadłe gmazydło zmienia przeznaczenie na — „szpital dla cholerycznych“.

Dopiero od roku 1861 zamek



Odbudowująca się fasada zamku Ostrogskich.

dostaje trwałego i szanownego właściciela. Jest nim Warszawski Instytut Muzyczny, później przemianowany na Konserwatorium. Z dawnego piękna zamku nie zostaje, niestety, ani śladu. Przebudowany, powiększony, ale i zeszpecony — służy muzyce aż do 1944 r., kiedy to wraz z całym miastem pada w gruzy.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? — Są dwa powody.

1) Po bez mała dwóch wiekach postępującego ciągłego architektonicznego upadku zamku Ostrogskich — Polska Ludowa przywraca rezydencji jej dawne piękno. 2) Niedługo sprawdzą się obawy starego profesora Chopina: Frycek będzie do Ostrogskich... „porwany“.

Sylweta zamku już dziś przypomina stare szyćchy, na których budynek zachwycał nieporównanym pięknem swych proporcji i bogactwem ozdób. Kiedy reszta rzeźb znajduje się w niszach ścian i gdy ostatnie płaskorzeźby ulokowane będą na właściwych miejscach, pałac na Tamce będzie mógł konkurować co do urody z pałacem w Łazienkach.

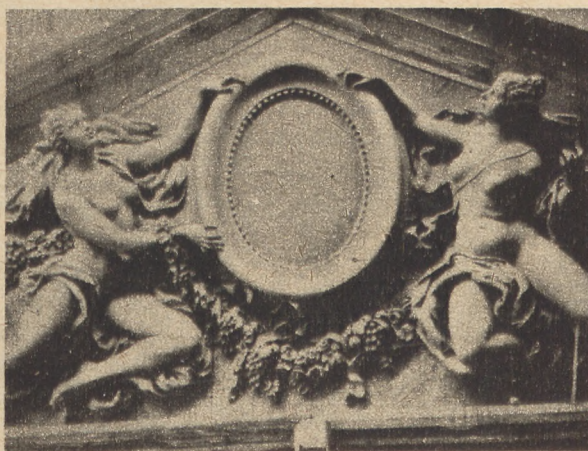
Wewnątrz jeszcze pokrywa się ściany tynkiem — z czego? — z mielonego białego marmuru. Każdy fragment sufitu, każdy

portal drzwi, każdą nieledwie klamkę komponują artyści jako osobne dzieło sztuki.

A to wszystko razem łączy się w generalne przygotowania do „porwania Frycka“. — Za kilka już bowiem miesięcy do zamku Ostrogskich przeniesie się Instytut Fryderyka Chopina. Będzie tu urządzona sala koncertowa na 250 osób, w trzech innych salach pomieści się muzeum chopinowskie. Prócz tego będą osobne pokoje na bibliotekę, fototekę, płytotekę i stilotekę chopinowską. Będą i pokoje konferencyjne i archiwum, i taras przed zamkiem na letnie koncerty, na 1500 osób.

A cóż się stanie z tajemniczymi lochami i bijącym w nich źródłem, na którym pływa czasami, ciemną nocą, złota kaczka ze starej warszawskiej legendy?...

Potężne, 10-metrowej wysokości lochy, jedne z ciekawszych w Europie, będą zamienione na winiarnię. Będziemy tam siadywać po koncertach chopinowskich i gawędzić o dawnych czasach, kiedy pani Chopinowa chodziła z Fryckiem na Solec. Będziemy rozmyślali i o tym, jak to ładnie się stało, że ludowa Warszawa oddała najpiękniejszy ze swych odbudowujących się pałaców swemu największemu muzykowi.



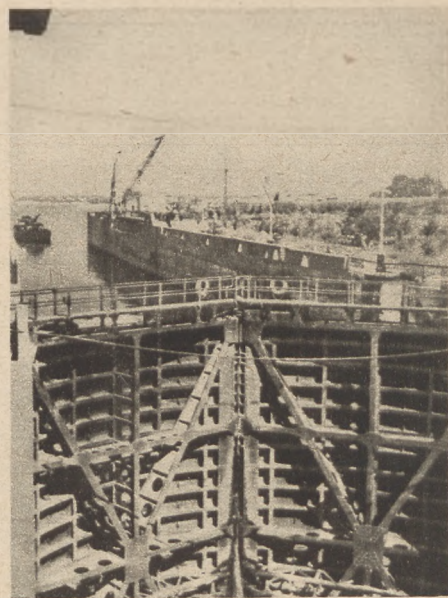
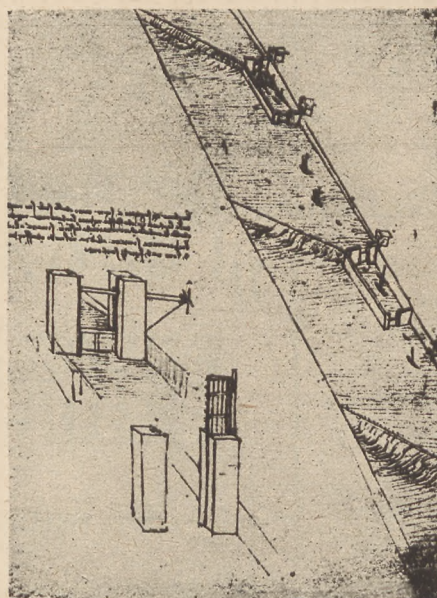
Tympanon na frontowej ścianie zamku.



Płaskorzeźba nad drzwiami sali koncertowej.

Dalszy ciąg nastąpi

WYNALEZKI Leonarda da Vinci



ŚLUZY NA KANALE

We wstępie do „Dialektyki Przyrody” Engels tak scharakteryzował epokę Odrodzenia: „Był to największy postępowy przewrót jaki ludzkość do owych czasów kiedykolwiek przeżyła, epoka, która wymagała olbrzymów i olbrzymów myśli, namiętności, charakteru, wszechstronności i wiedzy. Trudno było podówczas o wybitniejszego człowieka, który nie podejmowałby dalekich podróży, który nie mówiłby czterema lub pięcioma językami, który nie celowałby w kilku naraz dziedzinach. Leonardo da Vinci był nie tylko wielkim malarzem, ale zarazem wielkim matematykiem, inżynierem i mechanikiem, któremu różne gałęzie fizyki zawdzięczały doniosłe odkrycia”

LEONARDO DA VINCI (1452—1519) zasłynął nie tylko jako genialny malarz i rysownik, ale również jako wielki myśliciel obdarzony pomysłowością i fantazją w dziedzinie wynalazków technicznych. Gdyby żył przynajmniej o trzy wieki później, byłby znany na całym świecie zarówno jako genialny wynalazca i konstruktor, ale także jako wspomniały malarz i rysownik.

W przeciwieństwie do dużych możliwości artystycznych, jakie istniały w epoce Odrodzenia — w okresie tym baza techniczna była bardzo słaba. Toteż rewelacyjne pomysły i plany Leonarda — wynalazcy musiały przez kilka wieków czekać na możliwość zrealizowania.

Na przykład w dziedzinie lotnictwa. Zamieszczamy obok trzy rysunki Leonarda da Vinci, przedstawiające spadochron, szybowiec i śmigłowiec (helikopter). Sam fakt, że wszelkie osiągnięcia w tym kierunku dotyczą zaledwie ostatnich stu lat — świadczy dobitnie, o ile genialne pomysły Leonarda wyprzedziły współczesną mu epokę.

Warto też zwrócić uwagę na ogromne podobieństwo szkiców Leonarda do współczesnych spadochronów i aparatów latających. Pokazuje ono, do jakiego stopnia plany wynalazcy były realne. Ale cóż — genialny uczony żył w czasach, kiedy szczytowym osiągnięciem techniki był wiatrak i prymitywna tokarka do drzewa...

Szkice Leonarda, przedstawiające projekt śluzy na kanale oraz urządzenia wiertniczego, mogą dać przybliżone pojęcie o wszechstronności znakomitego uczonego. Znacznie więcej powiedzą nam jego rysunki oraz pisma naukowe, których zachowało się wiele. Dowiemy się z nich, że hygrometr — przyrząd określający wilgotność powietrza — jest wynalazkiem Leonarda da Vinci. Dowiemy się, że był on racjonalizatorem w dziedzinie tkactwa, gdyż jest autorem pomysłu skręcania i nawijania nici na szpulki. Leonardo da Vinci skonstruował pierwsze przenośne mosty pontonowe. Leonardo opracował systemy kanałów i wodociągów, które mogły nawet ludne miasta zaopatrzyć w wodę, określił zasady perspektywy malarskiej, pisał o optyce, anatomii, klimacie...

Niektóre wynalazki, a raczej pomysły techniczne, świadczą o sporej dozie humoru genialnego konstruktora. Oto nad kominem obracają się skrzydełka prymitywnej turbiny, poruszane unoszącym się do góry rozgrzanym powietrzem. Turbina połączona jest ze znajdującym się niżej pomieszczeniem, gdzie z kolei obraca... rożen z pieczeniem nad ogniem.

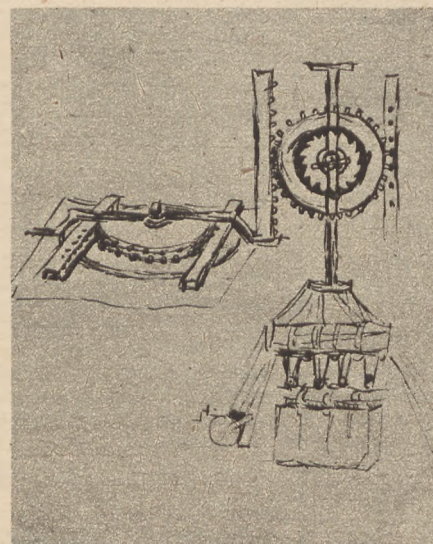
Albo z innej nieco dziedziny: dość skomplikowany system naczyń połączonych, napełnionych wodą, oraz mniejszych i większych dźwigni. Przy ostatniej — bęben z nawiniętym sznurkiem. Koniec sznurka przywiązany do nogi śpiącego. To budzik. W określonym czasie machina uruchamia ostatnią dźwignię i sznurek szarpnięciem budzi śpiącego. A po chwili — wyciąga śpiocha za nogę z łóżka.

Zaiste — niewyczerpana była fantazja twórcza wielkiego Leonarda.

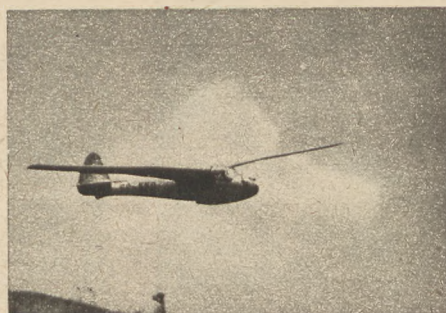
J. K.



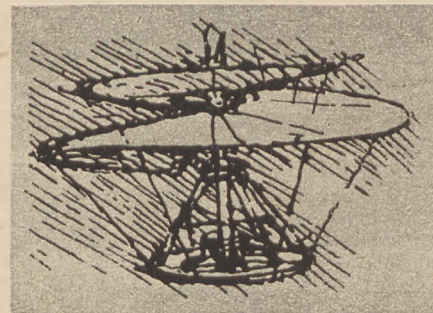
SPADOCHRON



URZĄDZENIA WIERTNICZE



SZYBOWIEC



ŚMIGŁOWIEC

Młodość

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

JEDNYM z najpiękniejszych „odcinków” — czyli w języku filmowców „sekwencji” (ciągu obrazów) — „Młodości Chopina” jest podróż młodego Fryderyka na koncert do dworku w Żelazowej Woli. Wioząca go podczas ulewnej kolasy grzecznie w błocie i Chopin wraz z woźnicą pukają do drzwi chaty, gdzie pali się jeszcze światło.

Chopin widzi dziewczynę w koszuli, wyskakującą przez okno i biegnącą w pole. Otwiera im ubogi chłop o włosach zmierzwiionych i wylekzionym spojrzeniu. Jego żona dowiedziawszy się, że to przejezdni zagubieni w burzy szukający noclegu, woła córkę by wróciła do domu: okazuje się, że „dworscy” chcą zabrać dziewczynę przemocą do pracy, mimo odrobionej już przez rodzinę pańszczyzny. Znużony Fryderyk zasypia — matka nuci kołysankę, huśtając kolebkę zasiewzoną u pałapu.

Rano budzi Chopina zgiełk: na tle promiennego pejzażu mazowieckiego, pod studnią, dwaj parobcy ćwiczą chłopca na rozkaz ekonoma.

Widzimy Chopina, jak w letni i spokojny dzień idzie wzdłuż miedzy obok pola falujących kłosów. Spotyka po drodze orszak weselny: chłopcy proponują mu, by się „przysiadł”. Rozhukane koniki zwożą weselników do chaty, gdzie panna młoda, prawie dziecko, o twarzy poważnej i pełnej godności, tańczy w pierwszej parze z prowadzonym. Jesteśmy świadkami pełnej pasji sceny taneczno-obrzędowej — aparat przesuwający się po charakterystycznych twarzach dziewczyn, chłopaków, starców — aż do Chopina, siedzącego na ławie wśród weselników, z cynowym kufelkiem na stole, i czującego się tu dobrze...

Z postaci artysty obiektyw postępuje za jego wzrokiem ku okienku, przez które widać dworek. Tu następnie Chopin koncertuje na fortepianie ustawionym pod rozłożystym drzewem, mając za słuchaczy damy w krynolinach. Jedną z nich, to Konstancja, ukochana Chopina — która go uprowadza, gdy skończył grać, w pole nad szeroką rzekę. W lesie prześwieconym promieniami słońca dziewczyna całuje go i ucieka. Na próżno Chopin goni ją przez krzaki i mokradła, wołając: Konstancjo! Konstancjo! Zmrok tymczasem zapada i Chopin, pobłądziwszy, kieruje się ku ognisku, gdzie stary pasterz dozoruje konie. Jest już zbyt późno, by znaleźć drogę wśród rozlewisk, i młody muzyk spędzi tę noc w szalasy, wśród rżenia stada, przy akompaniamencie pasterskiej piosenki, nakryty kożuchem używanym przez dziewczynę — towarzyszkę starego.

FILM NIE O MUZYKU, LECZ O JEGO MUZYCE

Z tego cyklu scen możemy się zorientować, jakie były zamiary twórców filmu o Chopinie. Pragnęli oni pokazać, skąd się wzięła, z czego wyrosła jego muzyka. Takie ujęcie jest nowością w filmie muzycznym, i to nie tylko u nas. Bibliografia filmowa wymienia około dziesięciu filmów o Chopinie. Trzy z nich zrealizowano w Ameryce; w ostatnim rolę Chopina gra Cornell Wilde, aktor, który zyskał rozgłos jako „Robin Hood”, tj. dzielny łucznik, skaczący po drzewach, organizator „partyzantów” przeciwko uzurpatorowi na tronie angielskim, Ryszardowi II. Tę starą legendę, opisaną przez Waltera Scotta, w Hollywood potraktowano na wzór „Tarzana”. Taki więc bohater tryskający zdrowiem, do roli Chopina został ufrzywany i wbity we frak, co mu nie przeszkadza pokazywać wilczych zębów i zapewniać przyjaciół, że wszystko jest na dobrej drodze (Well, well, my boys). Widzimy Chopina wpłatanego w intrygi salonne pośród hrabiów oraz w kombinacje patriotyczne, które się nie udają (It's bad my boys — źle dzieje). Chopin wyjeżdża, by uratować swoją sztukę. W Paryżu spotyka George'a Sand, której miłość obudziła w nim znowu chęć do życia i siły twórcze. W filmie tym reżysera zajęła anegdota o miłości Chopina, podana w snobistycznym klimacie „z życia sławnych artystów” — sam zaś kompozytor przedstawiony jest jako efektowny amant.

Inny głośny film, nakręcony we Francji jeszcze w okresie „niemym”, wyświetlony był u nas w roku 1931, pt. „Wielka miłość Chopina”. Rola główną wykonał tu świetny tragik Pierre Blanchard: tematem filmu było uczucie, tym razem — w przeciwieństwie do wersji amerykańskiej — nieszczęśliwe; Chopin kochał Konstancję beznadziejnie, bo dumna rodzina nie chciała jej wydać za „muzykusa”; artysta cierpiał nie chciąc i jeszcze na łożu śmierci ścisł ją w dłoń jej portret. Chopin posłużył tu jako pretekst do łatwego wzruszenia w stylowej i romansowej tragedii namiętności.

„Życiorys miłosny” jest najczęstszą formą filmów o muzykach. W ujęciu takim reżyser, w pogoni za sentymentalną historią, oddala się od dzieła kompo-

zytora i zagłębia się w jego dzieje prywatne, pozabawione związku z twórczością, która przede wszystkim powinna nas interesować.

JAK SIĘ NARODZIŁA ETIUDA REWOLUCYJNA

Zamiar Aleksandra Forda, reżysera „Młodości Chopina”, był inny: pragnął on pokazać w szeregu scen filmowych luźno ze sobą związanych — to wszystko, co wpłynęło na charakter muzyki chopinowskiej. Tematem filmu jest więc poszukiwanie źródeł tej twórczości i przetłumaczenie jej na cykl obrazów. Chopin jako człowiek prywatny jest tu na dalszym planie, wiadomości z jego życiorysu osobistego są ledwie zaznaczone: godna postawa jego ojca, dyskretna serdeczność matki, uczucie dla Konstancji nierozgadane w dialogach, ledwie naszkicowane w paru scenach: poznanie (gdy Konstancja śpiewa na chórze podczas nabożeństwa, Chopin zaś jej akompaniuje), wspólnej wizyty w muzeum, pocałunku w lesie, wreszcie pożegnania, gdy artysta opuszcza Warszawę. Nie słyszymy ich wyznających sobie miłość, nie mieszamy się w ich rozpacz, nie wdajemy się w rozwickłą analizę uczuciową; wiemy o Chopinie prywatnym tyle, ile zauważyć mógłby postronny obserwator — tyle tylko, ile wiadomo z przekazanej anegdoty, bez wgłębiania się w wątpliwe, wścibsko-plotkarskie przypuszczenia sentymentalne.

Zasadniczą treścią filmu jest odtworzenie atmosfery, w jakiej dojrzewa muzyka Chopina. Według ujęcia Forda, składają się na nią: poezja ziemi ojczyzny, życie i cierpienia zamieszkującego ją ludu — oraz romantyczne idee rewolucyjne, wstrząsające w tym okresie Polską, Rosją i Europą. Krajobraz ściślejszej ojczyzny Chopina, to Kujawy i Mazowsze: jest on różny np. od pejzażu podhalańskiego, surowego, patetycznego i dzikiego, który wpłynął na zgrzytliwą, dramatyczną, rozdartą twórczość Szymanowskiego. Ziemia Chopina pełna jest zadumy, spokoju, godności; uczucia tu powstałe są wyśpiewane w pełni, do końca, ze świadomością ich znaczenia i siły.

Drugi składnik twórczości artysty — to klimat przygotowywającego się powstania listopadowego, rozruchów w Wiedniu, insurekcji lipcowej w Paryżu. W scenach tych Ford korzysta z doświadczeń szkoły filmowej radzieckiej, stylu, którego jest najwybitniejszym u nas przedstawicielem (podobnie jak A. Bohdziewicz, autora „Za wami pójdą inni”, można by uznać za polskiego reprezentanta gatunku „francuskiego”, z jego dokładną analizą psychologiczną i obserwacją obyczajową życia codziennego). Tutaj Ford odtwarza nieco teatralny, lecz szlachetny patos dawnych sztychów, gdzie oglądamy naradę wodzów powstania zebranych u Mochnackiego, podczas gdy Chopin gra w sąsiednim pokoju; sceny bitew roku 1830, gdzie walczący, którzy padli, przekazują żywym sztandar wiodący do ataku; wreszcie rewolucję paryską — pólnagich robotników, którzy wyszli z warsztatów na barykady, pod wodzą sankiuloty w czapce frygijskiej i czarnowłosej kobiety ranionej w pierś, niby na sławnym obrazie Delacroix.

Film obfituje w świetne ujęcia reżyserskie, jak np. scena koncertu Chopina, gdy aparat przesuwający się po skupionych twarzach widzów, tych eleganckich, na parterze, i tych, z których wyszedł Kiliński, na galerii; z werwą i rozmachem nakręcona zabawa w warszawskiej ludowej „tancbudzie”, gdzie Chopin improwizuje piosenkę „Szynkareczko, szafareczko, bój się Boga, stoj!”; dalej ciekawa aluzja reżyserska, gdy w scenie pobytu w Wiedniu aparat wędruje kolejno poprzez portrety Bacha, Beethovena, Schuberta i zatrzymuje się na twarzy Chopina, włączając żywego Polaka-kompozytora do galerii mistrzów muzyki; wreszcie z pasją rozwijająca się „sekwencja” powstania etiudy rewolucyjnej, dojrzewającej w wyobraźni Chopina pod wpływem wiadomości o insurekcji 1830 roku, według melodii trąbki pocztyliona, gdy Fryderyk na próżno usiłuje dojechać do Polski, by wziąć udział w walce.

Przy podobnym „historycznym” i nieosobistym ujęciu losów Chopina, od wykonawców należy wymagać raczej dyskrecji niż efektowności; Cz. Wołłejko (Chopin) i Al. Śląska (Konstancja) z taktem dostosowali się do koncepcji reżysera. W filmie takim bardziej są typowe postaci epizodyczne, pełne wyrazu i prawie symbolicznego znaczenia: ksiądz Czartoryski, godny i obłudny przywódca magnaterii (G. Buzzyński), zacny nauczyciel Chopina Elsner (Kurnakowicz) czy dobitna sylwetka demokracji Lelewela, przygarbionego, z grubym nosem i charakterystycznymi bokobrodami, skupionego i spokojnego (znakomity Białoszczyński). „Młodość Chopina” jest jednym z pięknych osiągnięć naszej sztuki filmowej.



Na tej „górce” w kawiarni warszawskiej gromadzi się polska „rewolucja artystyczna” (w przyszłości polityczna): znakomity krytyk Mochnacki (J. Kaliszewski), poeta Witwicki (Duszyński), poeta Bohdan Zaleski (Pietraszkiewicz), Chopin (stoi). Z prawej, w płaszczu Lelewela, ironicznie spogląda na salę gdzie siedzą „klasyści” — prawica literacka i społeczna.



Konstancja Gładkowska śpiewała podczas mszy; Chopin zirytowany niedołęstwem organisty-akompaniatora, sam usiadł za klawiaturą. Tak zaczęła się ich miłość. (Aleksandra Śląska w roli Konstancji).

Stuchając wielkiego skrzypka — wirtuoza, Chopin upewnia się, że „cały świat uczuć wyrazić można grą na jednym instrumencie”. Myśli o swoim fortepianie...



PAMIĘTNIK DYPLOMATY

Oddajemy w ręce Czytelników dokument niezwykle: pamiętnik amerykańskiego generała Roberta W. Grow, który był attache wojskowym ambasady Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Pamiętnik ten mówi o polityce amerykańskiej więcej, aniżeli wszystkie oficjalne oświadczenia amerykańskich mężów stanu. Nic dziwnego, że ogłoszenie tych pamiętników przez prasę demokratyczną w Niemczech wywołało prawdziwą furję wściekłości w kołach rządzących Stanów Zjednoczonych. Jednakże koła te musiały stwierdzić całkowitą autentyczność dokumentu. Zarówno Departament Stanu jak i sztab generalny USA w specjalnym komunikacie ogłoszonym przez agencję Associated Press przyznały, że pamiętnik jest całkowicie autentyczny. Generał Grow został odwołany ze swego stanowiska i przebywa obecnie w Ameryce. Obszerne wyciągi z pamiętnika gen. Growa ogłoszone zostały w książce majora Richarda Squiresa, oficera armii brytyjskiej, który zerwał z obozem podlegaczy wojennych. Książka majora Squiresa pt. „Auf dem Kriegspfad” ukazała się w Berlinie, nakładem firmy Ruetten und Loenning. Oto wyjątek z książki mjr. Squiresa:

PEWNEGO pięknego sierpniowego dnia 1951 roku, wkrótce po wymianie listów między Trumanem a Szwerńnikiem oraz po uchwaleniu orędzi Kongresu Stanów Zjednoczonych i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w sprawie stosunków między obu krajami, spotkałem starego przyjaciela, berlińskiego korespondenta jednego z dzienników londyńskich.

Jak wielu innych, byłem skłonny uważać orędzie Kongresu za oznakę osłabienia agresywnej postawy Ameryki wobec Związku Radzieckiego. Oczekując, że mój przyjaciel potwierdzi moje przekonanie, spytałem go: „Czyż to orędzie Kongresu nie oznacza, że władcy Ameryki trochę ochłonęli?”

Miał odpowiedzi, przyjaciel mój popatrzył na mnie długo i przenikliwie. Na obliczu jego malowało się zaskoczenie i niepokój; widać było, że toczy ze sobą walkę. W końcu zauważył: „Orędzie Trumana to tylko słowa. Ale fakty...” Na chwilę zamilkł, potem otworzył teczkę i wcisnął mi w rękę dużą, zapieczętowaną paczkę, mówiąc: „Niech pan to weźmie. Znajdzie pan tu odpowiedź na swoje pytanie”.

Chciałem otworzyć paczkę, lecz dziennikarz powstrzymał mnie: „Nie tutaj. Dopiero po powrocie do domu”. Skinął na kelnera i zapłacił. Opuściliśmy kawiarnię. Na ulicy powiedział mi przytłumionym głosem: „Paczka zawiera kopię pamiętnika amerykańskiego generała. Otrzymałem ją od pewnego oficera amerykańskiego we Frankfurcie. Miał on okazję zapoznać się z treścią tego pamiętnika i był tak wstrząśnięty, że postanowił zrobić z niego fotokopię. Zwrócił się do mnie, abym w jakiś sposób podał treść tego pamiętnika do wiadomości publicznej”.

„No i cóż pan chce zrobić?” — spytałem go. „Nie oszalałem” — powiedział i wzruszył ramionami. — „Pan wie doskonale, co by się ze mną stało, gdybym taki dokument opublikował. Lub może wierzy pan w bajki Morrisona o wolności prasy w Anglii? Z własnego doświadczenia wiem, że oznacza to jedynie wolność przemilczania wszystkiego, co zawiera choćby ziarno prawdy. A właśnie z każdego wiersza tego pamiętnika wyziera prawda o amerykańskiej polityce. Wcale nie mam ochoty stracić posady, a od czasu, gdy papiery te znajdują się w moim ręku, siedzę jak na rozżarzonych węglach. Niech pan to weźmie i zrobi z tym, co pan uważa za właściwe”.

Gdy powróciłem do domu, przeczytałem pamiętnik od deski do deski. Do końca życia nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie uczynił. Z przerażeniem pomyślałem o losie wielkiego kraju i wielkiego narodu — Ameryki i Amerykanów — które znajdują się dzisiaj w rękach brutalnych barbarzyńców, takich jak autor tego pamiętnika. I tacy ludzie mają w swych rękach bomby atomowe, gazy trujące, napalm, bronie bakteriologiczne i inne, przy pomocy których pragną zamienić stare miasta Europy w ruiny i zgłiszczą i zetrzeć naszą cywilizację z powierzchni ziemi.

Każdy, kto z całego serca nienawidzi wojny, nie może bez oburzenia czytać tych słów:

Our attack should be directed at the enemy weakness. Although the military services are primarily concerned with military weapons and methods, we must understand that this war is total war and is fought with all weapons. We must learn that in this war it is fair to hit below the belt.

„Nasz atak powinien być skierowany przeciwko słabym punktom wroga. Jakkolwiek służba wojskowa zajmuje się przede wszystkim bronią i metodami militarnymi, musimy jednak zrozumieć, że ta wojna jest wojną totalną i będzie prowadzona przy użyciu wszelkich broni.

„Musimy się nauczyć, że w tej wojnie także uderzenia poniżej pasa są uprawnione”.

Autorem powyższych słów jest generał-major armii amerykańskiej, Grow. Z pamiętnika jego dowiadujemy się, że pełni on funkcje amerykańskiego attache wojskowego w Moskwie i zajmuje kierownicze stanowisko w wywiadzie armii amerykańskiej.

To nie przypadkiem znalazł się Grow i jego nikczemny pamiętnik we Frankfurcie nad Menem. Jak ujawniają zapiski, Grow udał się tam na spotkanie kierowników U. S. Secret Service, amerykańskiego wywiadu w Europie, którzy zjechali do tego miasta w czerwcu 1951 roku. Właśnie w czasie tej konferencji generał-major Grow zamierzał omówić swoje poglądy, które znalazły wyraz w wyżej przytoczonym cytacie.

26 lutego 1951 r. Grow notuje:

„Otrzymałem list od Geo Kinga, który pokazywał moje listy Smith'owi; bardzo go zainteresowały. Domagam się, abyśmy przygotowywali się na okres, który nastąpi po przyszłej wojnie... Powiedział on, że Smith zainteresował się tym... Sądzi on również, że rok bieżący jest rokiem krytycznym”.

my. But some letters of Geo King who has been showing my letters to Smith who is interested. I am urging action on preparation for after war, when is where we have failed before. He says Smith is interested but there is little action. He also feels that this is very critical year.

Pamiętniki generała Grow to nie zapiski jakiegoś nieodpowiedzialnego chłopca. To pamiętniki oficjalnego przedstawiciela Białego Domu. Przytoczone powyżej fragmenty tego pamiętnika zawierają niezamaskowane poglądy człowieka, który wysłany został przez Waszyngton do Moskwy. Co więcej, poglądy te podziela Bedell-Smith, szef amerykańskiego wywiadu, były ambasador amerykański w Moskwie.

Czytajmy dalej:

„Wtorek, 23 lutego.

Z listu Bollinga wynika, że moje listy przekazywane są wszystkim ważniejszym departamentom, jak również i prezydentowi”.

Pamiętniki Growa posiadają wielkie znaczenie dla opinii publicznej. Nie można przejść nad nimi do porządku dziennego, zawierają bowiem zasadnicze wytyczne i zamiary dzisiejszych władców „zachodniego świata”.

Przytoczone poniżej fragmenty pokażą Czytelnikowi, co kryje się za fasadą amerykańskiej ambasady w Europie, pozwolą poznać ludzi myślących i postępujących podobnie jak Grow. Pamiętnik ten potwierdził moje przekonanie, że nie wolno dopuścić, aby bakcyle wojny rozwijały się bezkarnie. Toteż zdecydowałem się opublikować notatki Growa, jak również poszczególne fotokopie, aby cały świat się o nich dowiedział.

Szczegółowe zapiski generała Growa ukazują Czytelnikowi z drobiazgową dokładnością, co się dzieje w moskiewskim biurze (amerykańskiego attache wojskowego — przyp. red.) i w jaki sposób spełnia on swoje „dyplomatyczne” obowiązki.

Zapoznajmy się z oryginalnymi notatkami o jego codziennej działalności:

„Poniedziałek, 8 stycznia

Wyjechałem na południe, aby szukać A.A.A.*) Niczego jednak nie znalazłem w nieznanym okolicy”.

„Piątek, 12 stycznia.

Wraz z Thornalem i Abbelem spędziłem całe przedpołudnie na badaniu nowych dróg na południowy wschód od miasta.

Nie znalazłem żadnych pozycji A.A.A., lecz kilka dobrych danych terenowych”.

„Sobota, 20 stycznia.

Wraz z Bushem krążyliśmy przez trzy godziny w czasie zawiei śnieżnej na wschód i południowy wschód od miasta i ustaliliśmy trzy pozycje A.A.A.”

„Sobota, 27 stycznia.

Mroźna mgła ograniczała widoczność do kilku metrów, wskutek czego dziś nie robiłem żadnych poszukiwań. Jeden czy dwa listy i jeden raport o lokalnych pozycjach A.A.A., aby osiągnąć jeszcze pocztę dyplomatyczną”.

„Niedziela, 28 stycznia.

Wstałem o 10. Śniadanie. Potem pojechałem metrem linii okólnej „B” i przez dwie godziny spacerowałem w okolicy Akademii Frunzego. Nie odkryłem nic nowego, ale są oznaki, że w starych stajniach kawalerii trzymają konie”.

„Piątek, 15 lutego.

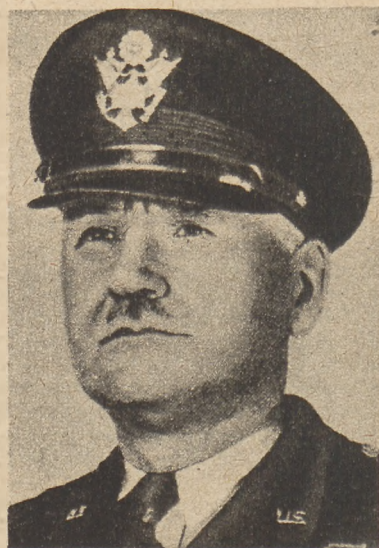
Wraz z Thornalem dokładnie zbadaliśmy północny okrąg przemysłowy, nie odkryliśmy jednak żadnych nowych pozycji A.A.A.”

„Sobota, 24 marca.

Wraz z Thornalem skontrolowaliśmy pozycje A.A.A. Wydaje się, że dwie z nich zlikwidowano, aby na ich miejsce wybudować zakład przemysłowy”.

Wiele podobnych fragmentów można by przytoczyć, lecz te wystarczą chyba, aby uzmysłowić czytelnikom „dyplomatyczną” rolę generała Grow w Moskwie. Dokładność z jaką „badana” była każda dzielnica stolicy rosyjskiej i jej okolice, wskazują, że dla tego dyplomaty-szpiega Moskwa stanowi jedynie cel dla przyszłych bombardowań atomowych. Opanowany jest on jedną jedyną myślą — wyszukać i wynotować każdą pozycję A.A.A., która mogłaby stanowić przeszkodę dla amerykańskich bombowców w ich „misji dobrej woli”. Zadanie generała Grow w Moskwie polega więc na tym, aby przy pomocy wszelakich środków przygotować powtórzenie obecnych wydarzeń w Korei, gdzie bombowce jankesów systematycznie niszczą spokojne miasta i cywilną ludność.

*) A.A.A. — Anti Aircraft Area — stanowiska obrony przeciwlotniczej.



50.000 DOLARÓW

Dokończenie ze str. 11

— A to niezbędne!... Już w domu najętym na pańskie imię zapisało się kilku stronników pułkownika Mac Fertan, którzy chcą mieć honor rozprawić się z panem, skoro tylko przybędziesz do miasta, ale znam pana jako odważnego i wiem, że dałeś dowody zręczności i szczęścia w podobnych okolicznościach; wyprawisz więc ze dwóch lub trzech na tamten świat przed wyborami, tyleż potem, a może inni nie zechcą się już mierzyć z panem.

— Mój panie Hopkan — odrzekł po niejakiemu namyśle kandydat na reprezentanta w Kongresie — wydałeś już 25.000 dol. na to wszystko, coś mi tu opowiadał; potrzeba by jeszcze drugie tyle wydać, aby być wybranym i to nie na pewno, a przy tym postradać oko, mieć złamane żebro, zęby wybite, nos rozpołowiony, lub coś podobnego. Rozumiem teraz dobrze myśl mej pełnoletniej piękności o nierównych nogach. Chciała ona posiadać męża, który by był reprezentantem w Kongresie, ale jakiegoś ślepego, chromego lub w jakimkolwiek gatunku ułomnego, a to żeby nie miała powodu do zazdrości, która by ją dręczyła, gdyby pojęła małżonka młodszego i prościej od niej chodzącego. Niechajże sobie zatrzyma swój wielki majątek wraz z 500 Murzynami i niech czeka na takiego, co by dla przypodobania się jej i objęcia znacznego posagu narażał się na utratę zdrowia lub życia.

Ja z pozostałymi 25.000 dolarów spróbuję cośkolwiek przedsięwziąć; może zostanę kupcem cykorii lub maki kukurydzianej, ale będę przynajmniej prostym, nie ślepym i z całym nosem, a jeżeli się kiedy ożenię, to dowiem się pierwszej dobrze od służącej, czy moja przyszła chodzi bez utkania, bo będę pewnym, iż nie zechce mnie wystawiać na uzyskanie jakiejś ułomności.

A teraz, mój panie, agencie elekcyjny, powracaj wprost do St. Antonio, staraj się nawet spotkać bandę, która wyjechała w groźnych zamiarach schwytania mnie i przeszkodzenia stawić się na dzień wyborów, możesz im oświadczyć niestosowność dalszej za mną pogoni, ponieważ teraz wracam do Austin, a tamtąd do Nowego Orleanu, zrzekając się dobrowolnie mej kandydatury na reprezentanta w Kongresie. Co do ciebie, panie Hopkan, wynajdź sobie innego kandydata, któremu mogą posłużyć i zadatki na głosy podawane, i najęcie domu, hotelu, i chirurga, i apteka, i łóżka, i nareszcie wszystko, coś z moich pieniędzy wydał; może, jeżeli będzie wybranym, odda mi choć połowę kosztów, a i to przydałoby mi się bardzo w chwili, kiedy dla osiągnięcia ręki dawno już pełnoletniej piękności, zrujnowałem się do reszty.

I zawoławszy na przyjaciół, którzy mu towarzyszyli, i służbę, ruszył w stronę do Austin, gdzie zabawiwszy parę dni, chętnie opowiadał wszystkim doznane przygody i rachunki swego agenta elekcyjnego.

Przybyliśmy nazajutrz po południu do St. Antonio; a ponieważ był to dzień wyborów, spodziewaliśmy się zastać jakieś pobojuwisko, choć jeden dom zburzony, kilku lub kilkunastu rannych w szpitalach na ten cel przez kandydatów pozakładanych i tym podobne jakieś awantury... lecz byliśmy zawiedzeni. Po cofnięciu bowiem przez Don Miguela swej kandydatury pułkownik Mac Fertan został sam na placu boju i nie było przyczyny do żadnych czynnych demonstracji. Skończyło się więc na hulankach i pijatykach wszystkich razem połączonych zgodnie elektorów.

KALIKST WOLSKI

SPROSTOWANIE

W zamieszczonym w poprzednim numerze wierszu satyrycznym Eugeniusza zytomirskiego „Monsieur Anders i Belle Mimi” uległa zniekształceniu druga zwrotka, która winna brzmieć:

Od razu poznać, że generał...
Ach, dyrektorciu, spójrz, mon cher:
Czyż nie świetnego mam partnera?
Monsieur Anders w „Folies Bergeres”!

SWIAT o tym wie!

REKORD MORDOBICIA

Uniwersytet Harvardzki w Cambridge, stan Massachusetts (USA) jest znów na pierwszym miejscu! Tę radosną nowinę rozgłosiła

ciosekundowych wypoliczkowali się 17.281 razy!

W nagrodę otrzymali tytuł „championów mordobicia” i wynieśli swą uczelnię na po-



SLAP-HAPPY... Chairs are reversed and a pillow is used as an arm rest as a couple of Harvard sophs, who are New York boys, Oakleigh Thorne (left) and Richard Mortimer, engage in a face-slapping marathon.

przed paru tygodniami prasa amerykańska, donosząc o wspaniałym osiągnięciu dwóch studentów tej uczelni. Oto Oakleigh Thorne i Richard Mortimer pobili rekord światowy mordobicia. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, w odstępach dziesię-

wrót na szczyty sławy. Albowiem Harvard University przed paru laty stracił swój tytuł „najlepszego uniwersytetu Ameryki”, gdy studenci innych uczelni pobili jego tradycyjny rekord w zjadaniu żywcem złotych rybek.

ORDERY NA TONY

W Kongresie Stanów Zjednoczonych ujawniono, że dowództwo armii amerykańskiej posiada na składzie 774.406 funtów (około 350.000 kilogramów) orderów wojskowych. Zajmują one ogromną powierzchnię w magazynach wojskowych. Według oceny fachowców taka ilość orderów wystarczy na lata. Obecnie toczy się do-

chodzenie, kto i ile zarobił przy udzielaniu zamówień na tak fantastyczną ilość orderów wojskowych.

A może przewidująca intendentura amerykańska przeznaczyła te odznaczenia dla pcheł, pluskw, wszy i innych insektów, które zmobilizowano do korpusu bakteriologicznego armii amerykańskiej?

OSIOŁ I ŚWINIA

Henry B. Krajewski z Se-caucus, w stanie New Jersey (USA) ogłosił w prasie, że pragnie się ubiegać o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych w charakterze niezaleźnego kandydata. Jako symbol polityczny swej kandydatury Krajewski wybrał prosię. (Jak wiadomo, sym-

bolem partii demokratycznej jest osioł, a partii republikańskiej — świnia). Zapytany, czemu wybrał sobie tak dziwny symbol, Krajewski oświadczył:

„Partia demokratyczna tak zaświniła Waszyngton, że czas już, by wyborcy zaczęli kwiczeć”.

SKĄD WZIĄĆ POLICJANTÓW?

Obłęd zatacza coraz szersze kręgi. W tygodniku literackim „Saturday Review of Literature”, wydawanym w Nowym Jorku (nr. z 1 marca 1952) czytamy w artykule wstępnym pt. „Czy Amerykanin jest godny zaufania?”:

„Czy możesz zaufać swemu najbliższemu przyjacielowi? Skąd wiesz, że on nie jest komunistą? A twój mąż czy żona, brat czy siostra? Czy

możesz zaręczyć, że nie są oni potajemnie związani z partią komunistyczną? Herbert A. Philbrick twierdzi, że nie możesz. Mr. Philbrick jest dyrektorem przedsiębiorstwa reklamowego w Bostonie i współpracownikiem FBI (federalnej służby śledczej)...”

Z dalszych wywodów pisma dowiadujemy się, że: „Na podstawie dziewięćletniego doświadczenia Mr. Philbrick napisał książkę pt.

„Wiodłem potrójne życie”. W książce tej stwierdza wręcz: „każdy może się nagle okazać członkiem partii komunistycznej — twój najbliższy przyjaciel, brat, pracownik, a nawet pracodawca, wybitny obywatel, czy urzędnik państwowy... Nie ma sposobu odróżnienia komunisty od nie-komunisty”.

Zdaniem Mr. Philbricka, który był przez owych dziewięć lat policyjnym prowokatorem, należy traktować całą ludność Ameryki jako podejrzanego element i poddać ją najściślejszemu nadzorowi policyjnemu. Mr. Philbrick nie wyjaśnia tylko jednego: skąd wziąć tylu policjantów?

NIEMCY ZACHODNIE W ILUSTRACJI

Zdjęcia z Niemiec zachodnich ilustrują warunki życiowe miejscowej ludności:



Rodzina bezrobotnego z okolic Monachium „mieszka” w starym, rozbitym wozie ambulansowym dawnego „Wehrmachtu”, obudowanym deskami i kawałkami blachy.



Ludność wiejska w Lesie Bawarskim (Bayerischer Wald) cierpi skrajną nędzę. Jak stwierdza fotoreporter brytyjskiej agencji Keystone w podpisie do powyższego zdjęcia, „typowe dziecko z Lasu Bawarskiego leży w „kołysce” z tekturowego pudełka. Powód: rodzice nie mają nawet wianienki lub podobnego sprzętu, w którym dziecko mogłoby spać”.

Jest jeszcze jeden powód, znacznie bardziej istotny: rząd Trizonii pakuje wszystko w remilitaryzację.

A prasa reakcyjna w Niemczech zachodnich z zadowoleniem publikuje zdjęcia w tym oto stylu:



Dzieci zaprawiają się do służby w nowym „Wehrmachcie”.



TANIO i ŁADNIE



Modele u góry, to dwie suknie pod płaszcz wiosenny. Oczywiście welniane, w kolorze jaki lubimy i w jakim jest nam „do twarzy“.

Suknia na lewo jest bardzo młodzieńcza (polecamy ją paniom, które przekroczyły trzydziestkę). Ta „młodzieńczość“ to zasługa szerokiego kołnierza z białej piki, z której także są zrobione mankiety przy rękawach. Całość uzupełniają: pasek i kokardka przy kołnierzu, czarne, granatowe — zresztą kolor według uznania.

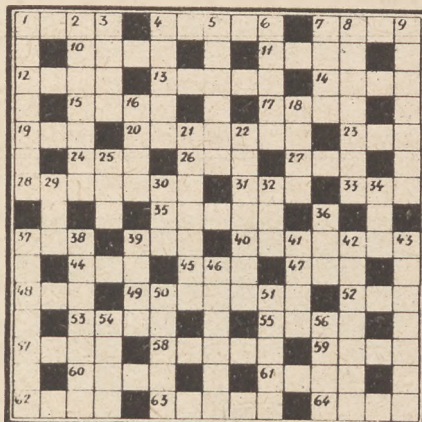
Drugi model to suknia bez dekoltu i jakichkolwiek przybrań. Rola tych ostatnich spełniają tuż fantazyjne kieszonki (jedna u góry, jedna u dołu) i kontrafaldy z przodu.

Na dole: bardzo skromna i bardzo elegancka (to zawsze idzie w parze) garsonka z wełny, lub cienkiego samodziału w poprzeczne paski. Z powodzeniem zastąpi kosztium wiosenny. Oczywiście na dni cieplejsze; w chłodniejsze wkładamy na nią płaszcz.

Zwracamy uwagę na torebkę. Niemodne już są torby „wielkiego kalibru“. A jeśli używa się — to tylko do strojów zdecydowanie sportowych.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1) Kresa, szrama, blizna, 4) Pecherze na ciecie, 7) Wykaz, lista, 10) Część świata, 11) Roślina żółto kwitnąca o silnej woni, 12) Przewody wodociągowe, kanalizacyjne, gazowe itp., 13) Jaskinia, pieczara, 14) Prawy dopływ rzeki Łarycz, 15) Drzewo liściaste, 17) Część melodii muzycznej, 19) Głębie obrazów, 20) Potrawa maczna, 23) Rzeka w Egipcie, 24) Inaczej „niedobra“, 26) Miasto portowe w Finlandii, 27) Pytajnik, 28) Rycearz w dawnej Japonii, 31) Moneta japońska, 33) Panika na giełdzie, 35) Marka traktorów, 37) Prawy dopływ Wisły, 39) Termin szachowy, 40) Osoba spóźniająca się, pozostająca w tyle, 44) Struś australijski, 45) Miasto w Indiach

wsch., 47) Część nogi, 48) Ryba, 49) Duża drewniana lalka krawiecka, 52) Siła, potęga, 53) Planeta układu słonecznego, 55) Zwierzę domowe, 57) Wytwórnia filmowa w NRD, 58) Ruch krwi w tętnicach, puls, 59) Funkcja pracownika przewidziana w schemacie organizacyjnym, 60) Wioski kaukaskie, 61) Największa głębina na oceanie Spokojnym w pobliżu wysp Mariańskich, 62) Bieg, pod wody płynącej, 63) Korzeń i część pnia pozostała po ścięciu drzewie, 64) Stone jezioro w Turkiestanie.

Pionowo: 1) Rzadkość, osobiwość, 2) Szyderstwo, zjadliwość, 3) Miejsce schronienia dla ludzi ściganych przez prawo lub wroga, 4) Miejsca podmokłe, 5) Drzewo afrykańskie, 6) Muza pieśni miłosnych, 7) Zbocze góry, 8) Współuczestnik gry lub zabawy, 9) Modla, wzór, 16) Imię kalifów arabskich, 18) Miejscowość na linii Warszawa-Otłock, 21) Imię meskie, 22) Ssak drapieżny o cennym futrze, 25) Część obwodu koła, 29) Firma aparatów radiowych, 30) Postać z „Chaty za wsią“ Kraszewskiego, 32) Okres dziejowy, epoka, 34) „Zabudowania“ pasteki, 36) Jednostka wagi, 37) Kolor błado zielony, 38) Lilia wodna, 39) Amerykański ssak drapieżny, 41) Skóra owca, 42) Człowiek lubiący przebywać wciąż w domu, 43) Koncert, który wypełnia tylko jeden artysta, 46) Graficzne przedstawienie wielkości fizycznej, 50) Zabytkowy przedmiot, 51) Obraz święty w kościele wschodnim, 54) Przyjęcie wieczorne bez tańców, 56) Cyfry.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe“. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 8 (31)

PARAGRAM: Plan Sześciolatek (paragon-Aragon, platyna-patyna, zabytek-zbytek, partner-parter, plaster-plater, związki-wiązki, elektor-lektor, ścięcie-cięcie, sprawca-sprawa, galeria-galera, oszczep-szczep, kwintal-kwinta, Galatea-galata, antenat-antena, pantera-patera, portier-porter).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 8 (31) nagrody książkowe otrzymują: 1) T. Bernas — Gołotczyzna, Dom Dziecka, pow. Ciechanów, 2) E. Cieślak — Poznań, ul. Opalenicka 34, 3) A. Głodkowski — Zawiercie, ul. Słowackiego 43, 4) J. Guźlińska — Radzymin, ul. 3 Maja 11, 5) J. Hierowski — Kazimierz Wielki, ul. Kolejowa 11, 6) J. Janowski — Łódź, ul. Piotrkowska 25,

7) E. Karkut — Grębocin, pow. Toruń, 8) B. Kaszuba — Tarnów, ul. Dąbrowskiego 46, 9) J. Konstantynowicz — Krosno, ul. Bursaki 2, 10) K. Kugler — Gdańsk, ul. Niemcewicz 1, 11) S. Lenkiewicz — Strzyżów, pow. Rzeszów, 12) J. Lipiński — W-wa, ul. Tyniecka 54, 13) W. Lohm — Kraków, ul. Loretańska 8, 14) E. Messner — Gdańsk, ul. Partyzantów 9, 15) I. Muzykówna — Poznań, ul. Wojskowa 20, 16) M. Paolińska — Toruń, ul. Pułaskiego 7, 17) A. Poinc — Bolesławiec, nadleśnictwo, 18) M. Szuster — Sopot, ul. Sobieskiego 3, 19) E. Świdorski — Łódź, ul. Abramowskiego 1, 20) I. Wachner — Poznań, ul. Staszica 11.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

MECZ SZACHOWY

„ŚWIAT“—CZYTELNICY

Na piąte posunięcie Redakcji wpłynęło blisko 250 odpowiedzi. Świadczy to, że w miarę rozwijania się naszego partii rośnie zainteresowanie Czytelników meczem szachowym. Początek przynosi coraz nowe zgłoszenia — i w związku z tym przypominamy: szachistów włączających się do naszego meczu, nie obowiązują żadne specjalne zgłoszenia. Wystarczy po prostu przysłać posunięcie — i nowy uczestnik meczu jest automatycznie włączony na listę.

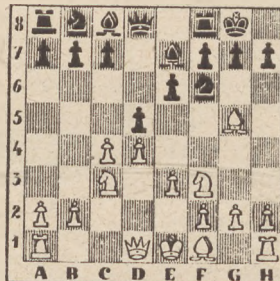
A teraz — o odpowiedziach Czytelników. Duża ilość możliwych piątych posunięć czarnych była przyczyną bardzo rozmaitych odpowiedzi. W wariantach 1 Czytelnicy zaproponowali 14 różnych ruchów, zaś w wariantach 2 — 10. Dlatego na poszczególne posunięcia padła stosunkowo niewielka ilość głosów.

W partii W1 przyjęta została mała rozszada (0—0), na którą padło 37,8% głosów. Dalsze miejsca zajęły ruchy: h7—h6 (11%), Sb8—d7 (8,8%), c7—c6 (7,1%) oraz c7—c5 i d5:c4, na które padło po 5,5% głosów.

W partii W2 zwyciężyło posunięcie c7—c5, które uzyskało 33,9% odpowiedzi. A oto inne ruchy: d7—d5 (17,7%), 0—0 (11,3%), Sb8—e6 (8,7%) i h7—b6 (7,8%).

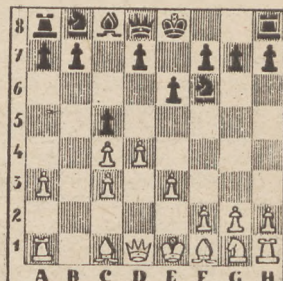
Nasze partie zatem, po uwzględnieniu szóstego posunięcia białych, wyglądają następująco:

PARTIA W 1



1. d2—d4 d7—d5
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Sg8—f6
4. Gc1—g5 Gf8—e7
5. e2—e3 0—0
6. Sg1—f3

PARTIA W 2



1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Gf8—b4
4. a2—a3 Gb4:c3+
5. b2:c3 c7—c5
6. e2—e3

ODPOWIADAMY

Z kolei przejdziemy do naszej korespondencji, która jest tym razem wyjątkowo bogata. Najwięcej wypowiedzi dotyczy propozycji ob. Czarneckiego, którą Czytelnicy zapewne pamiętają. Zabrało głos w tej sprawie około 60 uczestników meczu, przy czym większość zwróciła uwagę, że przyjęcie propozycji może dać pewną niewielką oszczędność czasu, ale grozi wprowadzeniem zamieszania do naszego meczu. Dlatego też — zgodnie z życzeniem większości — propozycji tej nie wprowadzamy do naszego regulaminu.

Ob. T. Soche regulujemy, że posunięcia, które nadsyłał w ramach zespołu Sanato-

rium w Olsztynie, będą mu zaliczone. Ob. M. Jastrzębski zapytuje, czy odpowiedzi na oba warianty można nadesłać na jednej karcie. Rzecz jasna, że można, i może nawet na jednej karcie nadesłać swe odpowiedzi kilku uczestników meczu. Ob. J. Czechowicz otrzymał nagrodę książkową i zapytuje, czy ją ma zwrócić, bo nazwiska jego nie było na liście nagrodzonych. W związku z tym wyjaśniamy, że ze względu na nieprzyznanie nagród za oryginalność, wylosowaliśmy jeszcze dodatkowo 5 osób, które otrzymały nagrody za wytrwałość. Nagrody te otrzymali obok Czechowicza: Kasprzak (Nowa Wieś), Czucharski (Koszalin), Heinig (Warszawa), Paleski (Chorzów).

Prosimy Czytelników o napisanie jakiegoś dnia i o jakiej porze jest do nabycia „ŚWIAT“ w miejscowościach, w których mieszkają. Czy często bywają opóźnienia? Czy nigdy „ŚWIATA“ nie braknie w kioskach? Odpowiedzi na te pytania można oczywiście podać na kartach z posunięciami w naszym meczu.

Przypominamy, że Czytelnicy winni wysłać swe odpowiedzi na szóste posunięcie najpóźniej we wtorek 8 kwietnia br.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W., PRASA

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch“, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Wkłóśnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ — Warszawa, Okopowa 58/72 Zam. 231. Pap. rotogr. V/80 cm. 3-B-13493

HUMORYSTA W TARAPATACH

WIESŁAW BRUDZIŃSKI — Rys. HA-GA

JAK tu napisać coś wesołego, będąc humorystą. Nie, to nie jest zły dowcip. Życie humorysty nie jest lekkie. Uginamy się pod brzemieniem dowcipu. U nas bowiem, jak już raz przylepią komuś etykietę, to musi żyć z nią aż do śmierci. Bez możliwości rozvodu.

O pewnym koleźce np. mówią, że jest gadatliwy, a on właściwie przez większą część swych przemówień milczy. Mimo to w wyobraźni znajomych z jego postacią łączy się zawsze pojęcie gadulstwa. To samo dzieje się z satyrykiem. Z jego nazwiskiem łączy się zawsze pojęcie złośliwości. (W ogóle te pojęcia dziwnie się łączą. Z wydaniem tomu humoresek np. łączy się zawsze pojęcie dużego nakładu... starań).

Tymczasem satyrycy miast zalewać innym sadła za skórę, powoli sami w nie obrastają. A może to zresztą nieprawda? Zbyt dobrze ich znam, aby ich znać na prawdę.

W każdym razie opinia satyryka i humorysty jest dość uciążliwa.

Od dłuższego czasu zacieka mi mieszkane. Poszedłem poskarżyć się gospodarzowi.

— Pan — humorysta i bez poczucia humoru? — zdziwił się gospodarz. — Przecież to świetny dowcip. Inżynier mówił, że dach wytrzyma 20 lat, a on już panu po dwóch latach zacieka i to jak zacieka, boki zrywać!

— Kiedy się wprowadzałem — rzekłem nieśmiało — mówił pan, że to mieszkanie z wodą bieżącą, ale nic pan nie wspominał, że po ścianach.

— Chciałem panu zrobić kawał, ha, ha! — zaśmiewał się gospodarz.

W ogóle bliźni mają zrozumienie dla mojej profesji.

Wracałem któregoś popołudnia z pracy, gdy wspomniany gospodarz zawołał mnie do siebie. Pracował właśnie w ogródku.

— Panie, chodź no pan tutaj. Niech pan przeskoczy przez płotek, furtka zamknięta.



Przeskoczyłem i wpadłem po pachy w dół, napełniony wodą.

Gospodarz zanosił się od śmiechu. Wreszcie przestał i wykrztusił:

— No co, dobry kawał?

— Nie — nie bardzo — odrzekłem dość ostrożnie szcękając zębami, ze względu na luki w uzębieniu.

— Co? — obraził się. — Jeszcze pan niezadowolony? Niczym panu nie dogodzi. Moje dzieci dwie godziny ten dół kopały, żeby panu zrobić niespodziankę. Jeśli to jest zły dowcip, to nie wiem, co dla pana jest dobrym dowcipem!

— Gdyby pan wpadł do tego dołu — rzekłem.

Gospodarz ujął mocniej drzewce łopaty.

— Czy pan tam coś mruczał?

— Nie. Chrząknąłem tylko. Trochę mi zimno. Nie pogniewa się pan, że pójde do siebie na górę i położę się do łóżka?

— Ech, nietowarzyski z pana człowiek! Humorysta!

Niedawno jeden z kolegów malarzy otrzymał jakieś wyróżnienie czy nagrodę.

— Słyszałeś, że Fredzio dostał nagrodę? — pyta mnie jego przyjaciel.

— Czytałem w gazecie.

— Zawsze coś takiego powiesz. W gazecie! He, he. Rozumiem, wolisz o tym nie mówić.

— Przeciwnie, bardzo chętnie będę o tym mówił.

— Bardzo chętnie? Paradne! Co masz na myśli, mówiąc to?

— Mam na myśli to, co mówię.

— Aha, więc za tym coś się kryje. Jakaś panama z tą nagrodą, co?

— Ale skąd!

— „Ale skąd!” Ha, ha! Rozumiem! Aleś to ujął! „Ale skąd!” Złośliwy z ciebie facet, ani słowa. Co ci właściwie zrobił ten biedny Fredzio...

Po paru dniach podszedł do mnie Fredzio, czerwony ze złości.

— Jak śmiesz rozgłaszać o mnie jakieś idiotyczne plotki?! Ja miałem zaprosić jury na kolację?! Ja pięć razy dziennie dzwoniłem do przewodniczącego?! Ja przekupiłem zecerów, aby złożyli moje nazwisko garmondem?! Co?!

— A ja rozgłaszam plotki?! — zdziwiłem się.

— Oczywiście, że ty.

— Wykluczone.

— „Wykluczone!” Znowu zaczynasz ze swymi dowcipami. Wykpisz człowieka i zohydzisz! Rodzonego ojca sprzedasz dla dowcipu, wstyd!

Ponieważ wokół nas zaczęła się gromadzić spora grupka publiczności, a

ktoś z dalszych rzędów dopytywał się natarczywie, co takiego mam zamiar sprzedać i po ile, oddaliłem się.

Fredzio do dziś mi się nie kłania.

Poszedłem na sztukę młodego polskiego autora.

— No i co pan o tym sądzi? — zapytano mnie po spektaklu.

— No cóż, dobry początek.

— He, he — znajomi poczęli trącać się znacząco łokciami — dobry początek, he, he, zawsze przypnie jakąś łatkę.

— Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny — zarechotał jakiś dowcipniś.

Obecni zawtórowali mu. Ktoś uderzył mnie dłonią w plecy.

— Pan to zawsze coś do śmiechu wymyśli!

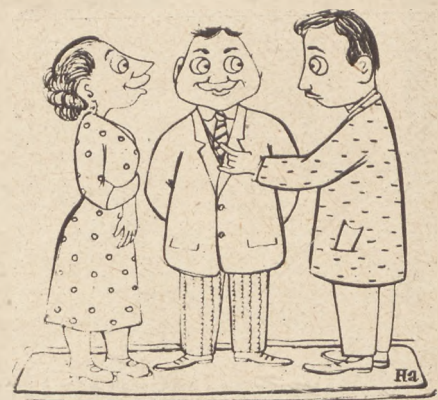
— A aktorzy? — zapytał przedstawiciel dyrekcji teatru.

— Dobrze zagrali — rzekłem.

Przedstawiciel dyrekcji zaperzył się.

— Dobrze zagrali! Tylko proszę bez tej ironii! Impertynent!

I, odwróciwszy się na pięcie, odszedł majestatycznie w kierunku toalety.



Cokolwiek powiem, uważane jest za złośliwy dowcip.

Ale znalazłem na to radę. Zaczęłem na wszystko odpowiadać dowcipnie i złośliwie. Po prostu sypać dowcipami, jak z rękawa.

Odtąd uchodzę za najbardziej ponurego faceta w Warszawie.

Józef Prutkowski

WYNALAZEK?

W nagłówkach różnych gazet

„Express Wieczorny”, „Życie”...

— Ogromny wynalazek!

— Rewelacyjne odkrycie!

— Sensacja! Atrakcja! Wąż morski!

Broniewski obiecał poprzeć.

Przyrzeka opiewać Gaworski.

W dwójnasób! Oburącz! Samotrzcę!

Wszakże wspaniała jest rzecz ta.

Trzeba ją opisać z talentem.

Rosjanie mówią: to mieczta!

(Lecz z trochę innym akcentem).

I śpiewa z dymiących Gliwic,

Z Helu, wśród kotwic i ławic.

Trzeba jej umożliwić,

Wesprzeć ją, poprzeć, ustawić.

Ten i ów coś przyrzeka,

Akt wierszowanej pomocy.

A ona płynie, płynie jak rzeka

Jako we dnie tako i w nocy.

Lekka jak stopy baletnic.

Dźwięczna jak akord i rekord.

Pomimo różnych obietnic,

I deklaracjom na przekór.

Ona, ślaska i łódzka,

Miłość. Miłość najszczęsza.

Miłość prosta i ludzka

Jak rym ostatniego wiersza.

ANECDOTY O MARKU TWAINIE

Przed swym pierwszym odczytem Twain miał wielką treść i postarł się o to, by wśród publiczności było kilku jego przyjaciół, którzy w odpowiedniej chwili powinni byli głośno się śmiać. Lecz śmiech ich okazał się zbyt słaby, gdyż już pierwsze zdanie odczytu zachwyciło publiczność. Brzmiało ono:

„Juliusz Cezar nie żyje, Szekspir nie żyje, Napoleon nie żyje, Abraham Lincoln nie żyje — i ja także nie czuję się zbyt zdrowo...”

Mark Twain, jako znany autor, prowadził obszerną korespondencję, która go absorbowała i męczyła. Zdarzyło się, że pewien literat napisał do niego list i nie otrzymawszy odpowiedzi zwrócił się do Twaina ponownie, dołączając do listu znaczek pocztowy i arkusz papieru. Po kilku dniach otrzymał od Twaina pocztówkę:

„Papier i znaczek otrzymałem. Proszę przysłać kopertę”.

Pewien hodowca psów przyprowadził raz do Twaina wytresowanego wilka, z którego był specjalnie zadowolony.

— Wie pan, to jest wyjątkowy pies — rzekł. — Gdybym mu kazał w tej chwili skoczyć przez rów, skoczyłby bez namysłu; gdybym mu kazał zjeść jabłko, zjadłby, chociaż nie nawidzi jabłek; a gdybym dla odmiany położył przed nim kilogram kielbasy i powiedział „nie rusz”, przeleżałby cały dzień i nie ruszył, nawet gdyby był bardzo głodny.

— Hm — rzekł na to Twain — zawsze miałem dobre mniemanie o psach, ale teraz widzę, że są równie głupie, jak ludzie.

Kiedys Mark Twain dostał pocztą książkę

początkującego autora, która nosiła tytuł: „Dlaczego żyje”. Młodemu autorowi chodziło o ocenę.

„Dlaczego pan żyje — odpowiedział listownie Twain — że pan mi swej książki nie przyniósł osobiście”.



rys. Brodaty („Krokodyl”)

Mark Twain do Tomka Sawyera i Dżeka Fina: — Idziemy stąd, dzieci. Tutaj, w Ameryce dzisiejszej mój humor jest niepotrzebny!...

Twain skazany był kiedyś, na czterdzieści dni aresztu za obrazę jakiejś wysokiej osobistości. Gdy odsiedział karę, jeden ze znajomych zapytał go, jak tam było w więzieniu.

— Gdy trochę się rozejrzałem — rzekł Mark Twain — zauważyłem, że i tam siedzą złooczyńcy.

Pewien członek sekty Mormonów pragnął nawrócić Twaina i zwerbować go do swej sekty. Dyskutując z nim, zawołał z furem:

— Niech mi pan przytoczy choć jeden przykład z Pisma św., zabraniający wielożenstwa!

— Chętnie — odparł Mark Twain — „Nikt nie może służyć dwu panom”.

Mark Twain z grupą turystów zwiedzał kiedyś Londyn. Na Trafalgar Square wzbudził jego zainteresowanie pomnik Nelsona. Zapytał więc przewodnika, czym wsławił się ten mąż.

— Nelson — rzekł z dumą przewodnik — zrobił z Anglii to, czym Anglia jest dzisiaj.

— Oh — rzekł dobrotliwie Twain — nie powinińskiś mu stałe tego wytykać!

